


30.



ZBIÓR
NOWEL I POWIEŚCI



1941

681445

WŁASNOSC
POLSKIEJ Y. M. C. A.
WE FRANCJI

ZBIÓR NOWEL I POWIEŚCI

Druk wykonano czcionkami
WIARUSA POLSKIEGO
46, Rue de la Charité — Lyon



138/3385

ZAMIAST PRZEDMOWY

Wobec dezorganizacji bibliotek i czytelní oraz braku księzek na wychodztwie, postanowiliśmy przystąpić do wydania, tytułem próby, kilku nowel.

Znane wszystkim trudności wydawnicze nie pozwalają na celowy dobór materiału, to też korzystaliśmy z tych tekstów, które posiadamy pod ręką.

Mamy nadzieję, że ta skromna próba będzie oceniona nie zbyt surowo, a w razie poparcia naszych Czytelników — postaramy się, w miarę możliwości, dostarczyć im dalszych tomików.

W tej myśli oddajemy do publicznego użytku niniejszy tomik i prosimy o pomoc w dalszej pracy na tym zaniedbanym dotąd odcinku społecznym.

WIARUS POLSKI

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

NAD BRZEGIEM WIELKIEJ RZEKI

Cóż widzisz, przeczytawszy słowa: Nad brzegiem wielkiej rzeki?

Widzisz jakoweś zarośla, splątane ścieżki, u góry niebo, u stóp fale wzburzone, które się toczą ku krańcom szeroko rozpostartej dalekości.

Przypuszczasz, że rozegra się tu dziwna lub straszliwa może nawet historia? Może walczyć będą na tym miejscu jakieś dwa wrogie szczepy? Jedni drugim najadą ziemię, porwą córkę ukochaną, zabiorą syna, ścigać będą, gonić, prześladować, tropić i ukrywać?

A może tu właśnie spotkają się i losy swe poróżnią dwaj bracia, jeden oracz, gospodarz pracowity, drugi żołnierz, włóczykij, pędziwiatr? Co jeden wybuduje, zbierze, to drugi roztrwoni. Miłość braterska będzie usiłowała godzić sprawy skłócone i cóż z tego potem wyniknie, i jakże to rozwiązać, jak w końcu bratać ogień z wodą?

Nad brzegiem wielkiej rzeki... Może nad tym brzegiem wyrośnie piękna, przezacna dziewczynka? Potem wywędruje stąd, wrogie siły zmówią się, by zmylić jej drogę... lecz ona, dziewczynina przezacna, wszystko w końcu siłą serca przemoże i oto wraca do kraju swego, do Ojczyzny szczęśliwej, w łube strony młodości, bolejąca, lecz niezwyciężona!

Jeszcze chwila uwagi, drogi czytelniku: na stronicach, które ten wstęp poprzedza, rozegrają się rzeczy ważniejsze niż walka dwóch szczepów czy rodzin, ważniejsze, niż gdyby jedni ludzie drugim ziemię najechali, ważniejsza od zgody między braćmi czy tej wygnanej przez zły los dziewczyny. Na stronicach tych pod pozorem kilku błahych opowiadań zajrzysz w samą głąb duszy ludzkiej.

Z historii pod tytułem „Dokument” osądzisz, jak pracę należy szanować i kochać.

Z historii pod tytułem „Cyrk” przekonasz się, co znaczy

godność w walce i że nie ma na świecie pokonanych, gdy są szlachetni duchem.

Z wydarzenia pod tytułem „Strażacy” wyniknie, czym jest poczucie obowiązku i jak należy rozumieć je w niebezpieczeństwie.

Z przygody pod tytułem „Zabawa w wojsko” dowiesz się, co jest na świecie ważniejsze, ilość, czy też jakość?...

Z opowiadania „U kuśnierza” wywnioskujesz, że zazwyczaj szukamy szczęścia daleko, podczas gdy czeka na nas blisko, lecz my wiedzieć o nim nie chcemy.

Patrząc na te wydarzenia, które nikłymi falami plotą się w nieprzerwaną ciągłość, czyż nie stoisz jak gdyby **nad brzegiem wielkiej rzeki**, zapatrzony w światła przelotne, zasłuchany w jej szmery urocze?

Stoisz jeszcze na brzegu — ja spory kawał drogi już przepłynąłem w swym życiu. Przyjmij tych kilka opowiadań jako dorobek długiego, serdecznego doświadczenia.

Będę szczęśliwy, jeżeli kiedyś, gdy podrośniesz i znajdziesz się na rozstajnej drodze i szukać będziesz wyjścia, przypomnisz sobie, co mówiłem tu w książeczce pod tytułem

NAD BRZEGIEM WIELKIEJ RZEKI.

Będę szczęśliwy, gdy to, co tu pisałem, przyczyni się choć w części do wyboru, który zawsze trzeba robić między różnymi ścieżkami.

Gdybyś nawet rzeczywiście to lub owo zawdzięczał tym opowiadaniom, wiem, że nie zdążysz mi nigdy o tym powiedzieć. Będziesz wtedy czynnym, walczącym o swe cele człowiekiem, podczas gdy ja, wówczas już może starzec, grzać się będę beczynnie przy piecu.

To nic!

Zdarzenia, o których dowiadywać się będę wtedy już tylko może z gazet, powiedzą mi wyraźnie, że Wy, Młodzi, czytelnicy dawni książek jesteście już o wiele od nas starszych mądrzejsi!

DOKUMENT

Nie wiem, jak jest teraz, wtedy gdy chodziłem do szkoły ludowej, dostawaliśmy świadectwa co trzy miesiące, to znaczy co kwartał. Mam je dotąd, schowane w skrytce mego biurka. Leżą na samym dnie. Na nich świadectwa gimnazjalne, uniwersyteckie, potem papiery wojskowe. Na samej górze

spis osób, które tym samym, co ja, okrętem jechały do Ameryki.

Jako miłośnik podróży, chowam sobie ten spis na pamiątkę. Drukowany jest zielonymi czcionkami na kredowym papierze, ileż lepszym od moich starych świadectw. Niektóre trzeba było podkleić, gdyż inaczej dawno by się już były rozleciały.

Dziś rano, szukając czegoś w biurku, znów na nie natrafiłem. Zaczynają się od klasy trzeciej, pierwszą i drugą przebrałem w domu.

Mój Boże, co to znaczy dokument i to jeszcze — jak miał mój ojciec — pisany czarno na białym!

Nie pamiętam już, jak wyglądał nasz nauczyciel. Na pewno nie poznałbym go na ulicy. Musi być siwym staruszką. On też chyba mnie nie pamięta. Byłem wtedy małym chłopcem, teraz dawno jestem dorosłym. Zmieniliśmy się obaj, a dokument — proszę: pisany czarno na białym od razu wszystko przypomina.

Siedzę przed otwartą szufladą mego biurka i-przeoglądam te pierwsze świadectwa, po kolei od samego spodu.

Kwartał pierwszy: Obyczaje „wzorowe”, pilność „bardzo dobra”. Ze wszystkich przedmiotów „bardzo dobrze”.

Mieszkaliśmy wtedy w małym miasteczku. Gdy wracałem do domu z tym świadectwem, miasto nasze wydawało mi się najpiękniejszym na świecie. Okna domów i wszystkie sklepy, i cukierki na wystawie u kupca, i wydrukowane na ogromnym arkuszu głowy ślicznie zaczesanych panów u fryzjera, i buciki stojące u pana Wyderki, naszego szewca, na aksamitnej podściółce jakby się śmiały do mnie.

Zadzwoniłem do drzwi trzy razy na znak zwycięstwa. Ojciec siedział przy stole i czytał gazetę. Spostrzegłszy mnie zapytał: — No i cóż?

Uśmiechnąłem się dumnie i położyłem mu na kolanach cały tornister. Ze wszystkim. Jakby książki, rzemienie, ołówek, pióro, zeszyty, wszystko razem należało do świadectwa.

Przeczytał uważnie cały arkusz od góry do dołu i zawołał: — Nie może być żadnych wątpliwości. Wspaniały dokument, wszystko jasne, czarno na białym wypisane.

Była z tego w domu wielka radość, wieczorem dostałem na pamiątkę politurowany piórnik.

Kwartał drugi nie był już tak świetny. Obyczaje nie wzorowe, ale, niestety, tylko dobre. Pilność — zaledwie dość dobra. Z przedmiotów nigdzie nie ma ukochanego „bardzo”, lecz tylko „dobrze”. Z rachunków — dostatecznie.

Gdy przyszedłem do domu, rodzice stali przy oknie, bo padał gęsty śnieg.

Ojciec odwrócił się i zawołał wesoło: — No i cóż?

Nie oddałem całego tornistra. Wyszukałem skrzątnie i, wyciągnawszy z zeszytu, podałem samo świadectwo.

Ojciec wziął mamę za rękę i zawołał: — A więc czytajmy.

Usiedli na fotelach naprzeciw siebie, stałem w środku między rodzicami. Ojciec czytał głośno od obyczajów w dół aż do rysunków i kaligrafii coraz wyżej podnosząc brwi. Przy „dostatecznie” z rachunków brwi mu się zmarszczyły, po rysunkach i kaligrafii wykrzyknął nagle: — Ba, a cóż to takiego?

Było tam napisane w uwagach: „Lubi się bawić na godzinach”.

Nie mogliśmy usiąść do obiadu, gdyż nastąpiła przemowa. Mama chciała mnie pogłaskać, ale ojciec powiedział: Zostaw go. To wszystko wcale nie jest takie przyjemne, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało. Wcale nie świetny dokument.

Ojciec mówił długo uważając, że z mego świadectwa wszystko da się wyczytać jak z nut. Kto się bawi na godzinach, ten nie wie, co się dzieje w szkole, kto nie wie, co się dzieje, ten nie może umieć przedmiotów, i tak dalej.

Było mi bardzo przykro, ale tylko przez pierwszych parę dni pamiętałem o tej przemowie. Potem zapomniałem i wszystko zaczęło iść znowu po dawnemu, to znaczy, coraz gorzej.

Był tu winien także i Matecki, który siedział obok mnie w klasie. Grał z nim ciągle w pióra. Podczas rachunków wygrałem od niego aż trzy, duże, silne, tak zwane „krokodyle”. Już miałem zdobyć czwartego, a tu nagle od tablicy pytanie:

— W takim razie zostaje nam z dzielenia? — pan nauczyciel do mnie: — powiedz!

Nie wiem, o co chodzi, nie wiedziałem nawet, że coś tam dzieli.

Złe.

Z Mateckim grał z pióra, z Bazińskim zbieraliśmy marki.

I znowu: Ja tu akurat wymieniam moje Cejlony za jedną śliczną starą Gwineję, tymczasem pan nauczyciel z katedry woła: — Czytaj dalej!

Nie wiem o co chodzi, nie wiedziałem nawet, że coś tam czytają.

— Złe. Siadaj, nie uważasz.

Musiał się tego dość dużo nabierać, bo gdyśmy przypadkiem spotkali się u naszego szewca, pana Wyderki — nazwisko miał wymalowane czarnymi literami na czerwonej blasze nad oknem sutereny — zaczął nasz nauczyciel rozmawiać z ojcem na boku.

Stary szewc bez kapoty, w kamizelce, z zakasnymi rękawami, klepie skórę młotkiem, pomocnicy siedzą na zydełkach i pilnie szyją, hałas, stukot okrutny, a nauczyciel z ojcem patrzy na mnie i mówią sobie do ucha.

Gdy ustało klepanie, usłyszałem ostatnie słowa: — Teraz nie się nie uczy.

Ojciec westchnął. Zdało mi się, że w ten sposób przebacza mi to „złe uczenie”, więc oglądałem sobie dalej spokojnie warsztat pana Wyderki.

Było tam wiele przyrządów, które chciałbym mieć. Na stole między zydełkami małe, białe kołeczki drewniane w blaszanym pudełeczku. Przydały by się z pewnością. W papierowej tubce matutkie złote gwoździki. Można by nimi poprzybijać mnóstwo rzeczy. Garnuszek kleju zaraz obok zaświeconej lampy. Musiał być doskonały, pachniał, aż w nosie wierciło. Takim klejem podkleić papierzanych żołnierzy — trzymaliby się jak mur! A co młotków, pilników, szydeł, rozmaitych dłutek?!

W innych pudełkach z brzegu leżały białe, konopiane nici. Co by z tego można wyrabiać?! Można by ich używać do jakiegoś pakowania, można by z nich wystrzepić siwe wasy i wspaniałą brodę dla świętego Mikołaja.

Były tu więc rzeczy, które w owym czasie nazywaliśmy po prostu skarabami.

Nikt się nimi w warsztacie nie cieszył. Pomocnik pana Wyderki wbijał kołeczki drewniane w podeszew, a jak się który zagiął, wyłamywał i rzucał na podłogę. Drugi pomocnik trzymał gwoździki w ustach. Bardzo mi się to podobało, ale ojciec, który był przecież doktorem, zauważył: — Czy musi pan te gwoździe trzymać koniecznie w zębach? To tak niezdrowo!

W odpowiedzi pomocnik poruszył tylko wargami. Wbił te ćwieczki w wysoki damski obcas równiutko dookoła, że z czarnej skóry błyszczały wianuszkami złotych oczek.

Nici konopianych, za które oddałbym chętnie dwa pióra krokodylowe, a może nawet trzy, także nie szanowali. Mały chłopczyzna, w moim wieku, suwał je na swym wyświechtanym fartuchu, skręcał, smarował smołą i szył nimi mały bucik dziecinny.

— Jak się nazywasz? — spytałem chłopca.

Nie odpowiedział.

Wobec tego spytałem, dlaczego macza nici w smole ?

— To dratew — miruknął i szył dalej na niskim zydelku. Bucik trzymał pomiędzy kolanami, ręce miał czarne od dratwy i szył do góry, w dół, że mu skakały prędko jak na sprężynach.

— Dam ci pióro, a ty mi daj trochę gwoździków. — Niestety, było już za późno. Ojciec pożegnał się z profesorem, spytał, na kiedy będą nasze trzewiki, „żeby na pewno” — podał rękę panu Wyderce i poszliśmy schodkami na górę.

Padał taki śnieg, że się aż cicho zrobiło na ulicach.

W różowym świetle apteki spytał ojciec, co bym zrobił, gdyby mnie oddał do szewca ?

Odpowiedziałem, że bardzo bym się cieszył.

— Ha, to doskonałe.

— Dlaczego ?

— Mój kochany ! — „Mój kochany” było zawsze wstępem do dłuższej rozmowy. — Po cóż masz zajmować miejsce w szkole ? Nie uczysz się. Nie uważasz. Bawisz się na godzinach. Na pewno znalazłby się w naszym mieście jakiś inny chłopaczek, który by na twoim miejscu o wiele lepiej pracował.

Przemowa trwała od apteki, przez całą ulicę Świętojańską koło naszej szkoły stojącej w zaśnieżonym ogrodzie, aż do samego domu.

Ale cóż ! Matecki dostał nowy „marnik”, a Baziński z ostatniej ławki pokazał pewien rzadki Trypolis i dwa Sudany, których nie miał nikt w całej klasie. Dawałem mu za Tripolis wszystkie moje najlepsze ujeżdżone pióra-krokodyle.

Nie chciał.

Wszystko szło coraz gorzej i gorzej, ojciec coraz częściej powtarzał, że moje miejsce nie powinno być w szkole, ale u pana Wyderki. Potem — u pana Wyderki na zydlu. Było mi żal, ale nie martwiłem się zanadto. Cóż wielkiego ? U pana Wyderki nie będę się musiał uczyć tylu nudnych rzeczy. Raz nawet odpowiedziałem ojcu :

— Będę doskonałym szewcem.

I tak przyszedł nareszcie ów nieszczęsny dzień marcowy, w którym dostałem świadectwo za kwartał trzeci. Trzymam je teraz nad szufladą, jeszcze dziś nosi ślady moich łez.

Długi spis stopni zaczynał się, jak zawsze, od obyczajów. Były tym razem — „nieodpowiednie”. Wracalem do domu, papier ten ciążył mi w tornistrze jak kamień. Na ulicach leżało rozmokłe błoto marcowe, padał deszcz. Wszystkie okna były zapocone, jakby całe miasto wiedziało już wszystko.

Matecki miał lepsze świadectwo ode mnie, Bazińskiego pochwalili nauczyciel.

U ojca byli na szczęście jeszcze chorzy. Mama tylko spytała : — No i cóż ?

Udałem, że nie słyszę.

— Jak to, więc nie macie dzisiaj świadectw ? !

Rozplakałem się. Poszliśmy razem do przedpokoju, tam bowiem zostawiłem tornister, pod lustrem. Mama przeczytała i rzekła : — Nic ci nie mogę pomóc. Dokument ten pokazesz ojcu sam.

Stało się to po obiedzie. Ojciec przeczytał i rzekł : — Spakuj książki. Oddamy je do biblioteki szkolnej. Tobie już nie będą potrzebne. O szóstej pójdziemy do pana Wyderki. Będiesz się uczył szewstwa. — Wstał, podziękował mamie za obiad i poszedł do chorych.

Usiadłem na kanapie, ażeby się namyślić. Nie wiem, jak długo myślałem. Już mrok zapadał, rynny wciąż brzęczały od deszczu. Płakałem. Tak mi było żal książek, naszej klasy i wszystkich.

O godzinie szóstej poszliśmy. Ojciec rzekł koło apteki : — Sądzę, że pan Wyderko będzie zadowolony. Wszyscy szewcy mają teraz wszędzie masę roboty.

Rzeczywiście bardzo się ucieszył. Gdy ojciec powiedział : — Przyprawdzam panu do terminu ucznia — pan Wyderko powiedział : — W to mi graj. Bo już sobie, panie doktorze, ręce po łokcie urabiamy.

Spytałem ojca nieśmiało, po raz ostatni, co będzie z moimi książkami ?...

Wyjaśnił mi, że tu zostaną, a on na powrotnej drodze odniesie je do szkoły. — Tymczasem — zakończył — bierz się do roboty, może ci tu lepiej pójdzie niż tam.

Nie było to wszystko wcale takie łatwe. Na zydelku — za nisko. Kolana mi sterczały wyżej głowy. Na krześle za wysoko. I niewygodnie !

Dali mi na początek coś bardzo łatwego. Skórę do wyklepania. Wyciągnęli ją z wiadra, gdzie się właśnie moczyła, położyli na gładkim kamieniu. Namoczona być musi, żeby była giętka, a znowu wyklepana, żeby w sobie wody nie miała.

— Musi być w samo prawie — westchnął pan Wyderko — inaczej zaraz się rozlezie.

Rozmawiają sobie, jeden pomocnik kołeczkuje, drugi raszpilem trze szybko po bokach podeszwy, a ja siedzę, pocę się i klepię.

— Z takim klepaniem, mój chłopcze — woła pan Wyderko. Młotek mi odbiera i sam klepie — bah, bah!

Więc znów ja z całej siły, drzewce aż pali w rękę, a pan Wyderko do ojca:

— Na nic się, panie doktorze, zdało takie klepanie.

Co innego: — daję mi konopiane nici, żeby dratwę skrecać. Ręce sobie całe smołą umazałem i zamiast nitki skręcam z tych konopi coś grubego jak linę.

— To ma być, panie doktorze, dratew? — jęczy pan Wyderko.

Coś innego: — gotową podeszew bucika tylko suknem wygładzić „aby mocno do blasku”. Pokazują, jak robić. Trzewik oprzeć o piersi, dobrze się nad nim skulić, kolanami z dwóch stron nacisnąć i suknem mocno, tam i na powrót — jazda!

Co się naprzód podam, to mi się same kolana rozstępują, co je ścisnę, to znów bucik skacze mi pod nos.

Obaj pomocnicy w śmiech, pan Wyderko przeciera sobie czoło i do mego oica powiada: — Panie doktorze, jeżeli ten chłopak do nauki niechętny, to tu też nauka. Szewc, panie doktorze, z powietrza nie bierze.

Ja na zydlu w płacz, a ojciec na to: — Gdzież więc dla ciebie mam teraz szukać miejsca?!

Przeprosiliśmy pana Wyderkę i idziemy z powrotem, myślę, może do krawca?

Przed szkołą, nic nie mówiąc, rzuciłem się ojcu na szyję.

Od razu zrozumiał, oddał mi moje książki, po krótkim namyśle przebaczył, a koło apteki oświadczył, że jeszcze ostatni kwartał zostawi mnie w szkole, na próbę.

W tym ostatnim kwartale miałem znów same „bardzo dobrze”. Był to już koniec roku szkolnego. Mama z ojcem czekała pod szkołą w cieniu rozkwitłych kasztanów. Gdyśmy wybiegli z bramy, mama wzięła ode mnie książki, ojciec pogłaskał po głowie. Szedłem bez kapelusza, z świadectwem w rękę, jak ze sztandarem. Po drodze wstąpiliśmy do pana Wyderki.

— Niech no pan przeczyta ten dokument — wołał już z daleka ojciec.

Pan Wyderko zasmolonymi rękoma odgarnął sobie wąsy do czytania, a jego pomocnik darował mi pudełko świeżych, czystych kołeczków na pamiętkę.

Teraz po tylu, tylu latach, gdy oto siedzę nad otwartą szufladą i przeglądam pierwsze świadectwa, jakbym znów widział sklep starego szewca, na półkach wszędzie mnóstwo

różnych bucików, wobec których, niby przed tłumem słuchanej publiczności, brzmią kochane słowa mego ojca:

— Niech no pan przeczyta ten dokument!

C Y R K

Stało się to całkiem niespodziewanie. Pewnego dnia ukazały się na wszystkich murach, płotach, słupach naszego miasta i w sklepach, i w księgarniach, i w aptekach, ogromne afisze z napisem: SIDOLI!

Mój starszy brat, Irzek, spostrzegłszy je, zawołał: — Patrz, jaki plakat! Na górze napisali: Sidoli.

Pod tymi sześcioma olbrzymimi literami wydrukowane było na błękitnym niebie mnóstwo obrazków. Lew skaczący przez obręcz. Pani, cała jak z lukru różowego, stojąca na siwym koniu. Kilku pajaców, którzy z cylindrami na nosach machają kozły w powietrzu. Pan we fraku, który pałac cygaro, siedzi na wieży z dwudziestu stołków. I wiele innych wspaniałych sztuk, a na dole plakatu drugi raz czerwonymi literami: SIDOLI.

W szkole zaraz po pierwszej godzinie, gdy przestał padać śnieg i zrobiło się słońce (działo się zaś to wszystko w końcu marca), krzyknął Baziński z ostatniej ławki do pierwszej Faliszewskiemu: — Ty! Cyrk przyjechał, teraz już nie będzie zimy!

Podczas drugiej pauzy Baziński postawił krzesło na katedrze. Siadł wysoko na samej poręczy, pałac przy tym olówek jak cygaro. Na trzeciej przerwie Faliszewski przyniósł obręcz z zeschniętej beczki, która stała pod rynną na podwórzu, i skakaliśmy.

Mateckiemu koniec tej obręczy mało nie wydziobał oka.

Gdy po nauce wychodziliśmy parami przez długą sień, rozlegało się w całym korytarzu jedno jedyne słowo: — Sidoli. Gdyśmy wracali do domu, pokazały się obok tamtych afiszów drugie, jeszcze większe z napisem: FRANCUSKA WALKA. Pod słowami tymi wydrukowani byli atleci. Mieli na rękach i nogach muskuły nie mniejsze od gór na naszej mapie Europy.

— Przyjechał cyrk! — krzyknęliśmy w domu zaraz w przedpokoju. — Co to znaczy Sidoli?

— Nic nie znaczy. Ojciec wzruszył ramionami. — Sidoli czy Ciniselli. Wszystko jedno. Włoskie nazwisko.

— Dlaczego w takim razie Sidoli, a nie na przykład Ridoli?

Gdyby Baziński — roześmiał się ojciec — miał cyrk, byłoby jego nazwisko wydrukowane jak „Sidoli” i jakiś inny chłopak pytałby znów swego ojca, dajmy na to we Włoszech, co to znaczy „Baziński?” Rozumiesz teraz?

Powiedzieliśmy, że rozumiemy, ale nie uwierzyliśmy. Sidoli i Baziński — ładne porównanie!

Z rozmowy tej wyłoniła się od razu druga sprawa. Kiedy pójdziemy do cyrku? Ojciec odpowiedział, że mamy jeszcze czas. Nam się zdawało, że nie ma jednej chwili do stracenia, ale, oczywiście, nie powiedzieliśmy ojcu tego.

Tego samego wieczora zrobiliśmy sobie cyrk w domu. Jeździliśmy stojąco na krzesłach. W szkole podczas przerw był też ciągle cyrk.

W poniedziałek rano opowiedział nam wszystko Baziński, który tam był z rodzicami w niedzielę. Trudno było zrozumieć, co opowiadał, ale wszyscy byli zachwyceni. Mówił jakby po angielsku. Sypał wciąż słowa — rek, kłown, salto mortale, żongler, żonglować, boy, amazonka, woltyżer. Opowiadanie swoje zakończył prawdziwym cyrkowym okrzykiem: Eja hop! !...

Wieczorem tego dnia włączyliśmy „cyrkowo” na poręcz łóżka. Skakało się stamtąd na arenę. Areną były zwalone na podłodze poduszki; właśnie tego wieczora przewlekano u nas pościel. Skok był bezpieczny, ale nie zawsze się udawał.

W szkole był Baziński naszym Sidolim. Matecki rzucał piłki. We wtorek, przed religią, powiedział, że na przyszły rok wstąpi sam do cyrku. Na wszystkich przerwach ćwiczył się w rzucaniu. Nikt nie śmiał mu przeszkadzać.

Podczas obiadu mój starszy brat, Irzek, powiedział, niby przypadkiem: Matecki wstępuje do cyrku. Miało to znaczyć, że jeżeli Matecki wstępuje, to moglibyśmy przynajmniej raz pójść.

Ojciec odpowiedział na to: Ba!

Co mogło znaczyć takie — „ba”?

Tymczasem stała się rzecz, która nawet naszego ojca i wogóle wszystkich przekonała. Ukazały się znowu ogromne afisze, na których były tylko trzy słowa. Stawali przed nimi wszyscy i czytali, jakby tam było wydrukowane: PYTLASIŃSKI PRZYJEŻDZA W KWIETNIU!

— Przyjazd Pytłasińskiego, przyjazd tak wspaniałego atlety, i to polskiego, posuwa sprawę cyrku bardzo poważnie naprzód — rzekł ojciec na spacerze.

Z wdzięcznością nazwaliśmy Pytłasińskiego od razu „naszym Pytłasem”. Miał walczyć z całym szeregiem siłaczy walką francuską. Kto kogo pokona, żeby położyć na obie łopatkę i tak dotrzymać dziesięć sekund.

Baziński pozostając w klasie Sidolim, stał się jednocześnie Pytłasińskim. Chodził do cyrku codziennie i znał się na walce francuskiej doskonale.

Podczas wszystkich przerw walczyliśmy w klasie. Potem w domu z bratem.

Baziński opowiadał, że „nasz Pytłas” kładzie siłaczy wszystkich narodowości świata jak zapalki. Jeżeli się trochę boi, to tylko jednego Szwajcara Neumana.

Baziński pokazywał, jakie ma mięśnie Neuman, a jakie Pytłasiński. Dla Pytłasa napręzał z całych sił, dla Neumana tylko do połowy.

— Ale — dodawał, co nas bardzo martwiło — tu jeszcze dochoǳi także zżęczność..

Okazało się, że nasz ojciec też się na siłaczach zna. Gdy przyszła gazeta, otworzył szybko na ostatniej stronie i rzekł głośno do mamy: No, no, Neuman w podnoszeniu ciężarów nie ustępuje wcale Pytłasińskiemu.

Rzuciliśmy się wtedy ojcu na szyję z okrzykiem: Do cyrku!

Złożył gazetę, powiedział: A więc dobrze — i następnego dnia poszliśmy.

Na ulicy „cyrkowej” daliśmy sobie z bratem słowo honoru i to prawdziwe, że jeżeli nasz Pytłas przegra, nigdy w życiu więcej do cyrku nie pójdziemy. Trzeba przyznać, że zaraz przy wejściu zapomnieliśmy o Pytłasie, o Neumanie i o wszystkim, bo „strasznie” nam się podobał sam cyrk.

Pachniał. Niby końmi, niby wsią, niby cukierkami. Arena była, ma się rozumieć, w środku, okrągła, posypana piaskiem. Dokoła bariera, pomalowana na srebrno. Na wszystkich galeriach aż pod sufit ludzi, i ludzi bez końca.

Przedstawienie zaczęło się od muzyki. Grała tak prędko, że się żałowało, iż nie można biegać dookoła areny. Potem otwarły się wrota i wyskoczyły z nich amazonki na koniach. Siedzieliśmy tak blisko, że z pod kopyt leciał na nas piach.

Jedną grudkę, która mnie uderzyła w rękaw, schowałem sobie do kieszeni na pamiątkę.

Cóż tam było wszystkiego!

Żonglerzy, gimnastycy na rękach, trzy siostry na trapezach.

Mama nie chciała patrzeć, mimo że miały nad areną rozeslaną siatkę.

Podczas przerwy poszliśmy do stajen.

Był tu lew dziki, niedźwiedź brunatny, dużo psów w ślicznych płaszczkach aksamitnych. Irzek mówił, że są mądre co najmniej jak ludzie. Słowo „co najmniej” powtórzył dwa razy.

Konie, kucyki, osiołki. Dawano się im marchew. Na żadnych imieninach nie bawiliśmy się jak w tej cyrkowej stajni. Irzek mówił, że to, że zwierzęta nie mówią niczego nie dowodzi, bo na pewno wszystko pamiętają.

Zaczęto dzwonić, wróciliśmy na nasze miejsca. Ojciec poprawił się na krześle i westchnął: — No, teraz czas na naszego Pytlasa.

Irzka i mnie od razu ciarki przeszły. Zapomnieliśmy o tej walce!

Orkiestra zaczęła grać marsza Sokołów. Po chwili rozchyliły się kotary i wyszedł z nich sam Pytłasiński. Był w czarnych trykotach, miał przez piersi białą - czerwoną wstęgę. Kolor Polski.

Cały cyrk krzyczał z radości i bił brawo.

Irzek ścisnął mnie za rękę i szepnął: — On zwycięży.

Jeszcze walono brawo naszemu Pytlasowi, gdy orkiestra zaczęła grać coś szwajcarskiego. Znowu się rozchyliły kotary, z za których wyszedł — Neuman.

Miał przez piersi na czerwonej wstędze biały krzyż, godło Szwajcarii. Neuman był bardzo piękny, w cielistych trykotach, ale brawo dostawał niewielkie.

Zyczyłem mu wszystkiego najgorszego.

— Czy on zwycięży?

Ojciec pochylił się ku mnie i odrzekł: — Nic nie wiadomo. — Ojciec był niespokojny, zagryzł wąsa, widziałem przecie.

Tymczasem tamci podali sobie ręce. Muzyka ucichła. Ledwie coś trochę brzęczało. Zaczęła się walka.

Nie wiedziałem, co robić, gdzie się podziać. Zyczyłem szczęścia tylko naszemu Pytlasowi, ale trudno! Szwajcar był bardzo ładny i walczył dzielnie. Chwytał się rękami, jakoś bardzo mądrze i już, już ma go położyć na łopatki, tymczasem tamten wyśliznął się i znowu wszystko na nic.

Ojciec patrzył zamrużonymi oczyma, już oba wąsy miał mocno przygryzione. W pewnej chwili mruknął: — Nic nie można powiedzieć, Szwajcar walczy bardzo szlachetnie.

Zimno nam się zrobiło od tych słów. Chwyciłem mamę za rękaw i szepnąłem: — Niech nikt nie zwycięży.

— To niemożliwe. — Potrząsnęła żałośnie głową.

Walczyli już trzydzieści minut. Przez tych trzydzieści minut, jakby w całym cyrku nikt nie oddychał, tak było cicho. Raz tylko, gdy Pytłasiński miał zwyciężyć, huknęło brawo. Ale Neuman wyskoczył z niebezpiecznego uścisku. I drugi raz, gdy już miał zwyciężać Neuman, krzyknął ktoś na galerii: — Nie mogę!!!

Po krótkiej przerwie rozpoczęli na nowo. Bałem się patrzeć. Siedziałem przeważnie z zamkniętymi oczami, pytając od czasu do czasu, czy już? Co będzie, jeśli Szwajcarzy nas pokonają?!

Tak jakby za wszystkich Polaków walczył na arenie nasz Pytlas przeciw wszystkim Szwajcarom, których broził Neuman.

Gdy nagle cały cyrk wybuchł ogromnym głosem żywiołowej radości!

Otwarłem oczy.

Neuman leżał już na arenie. Obie jego łopatki dotykały piasku. Pan sędzia w czarnym surducie patrzył na zegarek. Widać było z poruszeń warg, że odlicza sekundy. Pytłasiński spokojnie, choć mu drżały wszystkie żyły na ramionach, przytrzymywał barki Neumana.

Ludzie krzyczeli nieustannie z galerii ze wszystkich pięter. Wśród huku oklasków wpadli na arenę. Pochwycili naszego Pytlasa i nieśli dookoła krzesel wołając: — Hurra! Zwycięstwo! Niech żyje Pytłasiński!

Ja też wołałem z całych sił, póki przypadkiem nie spojrzałem na arenę. Stał tam jeszcze Neuman. Zaraz przy barierze dwóch panów otrzepywało mu białą chusteczką za walane piaskiem łopatki. Był blady, dyszał głęboko.

Pociągnąłem mamę za rękaw i w ogłuszającym hałasie krzyknąłem jej do ucha: — Co teraz będzie? Żal mi Neumana!...

Zaczęła coś mówić, było już za późno, rozplakałem się.

— Nie płacz. — Ojciec wziął mnie za rękę. — Zaraz się to wszystko wyjaśni.

Poprowadził nas przez otwartą barierę na arenę, mówiąc po drodze: — Powiemy panu Neumanowi, że walczył bardzo dzielnie i że zyskał sobie wśród nas przyjaciół.

Tak się stało. Ojciec podszedł całkiem blisko, przywitał się z p. Neumanem po niemiecku czy po francusku — nie

znałem się wtedy na językach — i zaczął mu to wszystko opowiadać. Trzymał mnie przy tym za rękę.

Wstydzilem się i nie wiedziałem, gdzie patrzeć. Czy na naszego Pytłasa, którego jacyś panowie nieśli wzdłuż galerii, już pod samym sufitem, czy na dzielnego Szwajcara?

Nagle twarz pana Neumana rozjaśnił uśmiech, którego nigdy nie zapomnę. Uśmiech — śliczny.

Wspaniały atleta pochylił się ku mnie i obiema dłońmi uściśnął obie moje ręce. W jego ogromnych pięściach moje wydały się małe jak orzechy. Spytał o coś ojca i z trudem — bo ciągle jeszcze krzyczeli na galeriach — powiedział mi do ucha łamaną polszczyzną: — Dziękuję.

— Nie martw się — dodała mama, gdyśmy już wychodzili z cyrku — kto walczy szlachetnie do końca, nigdy żadnej przegranej nie potrzebuje się wstydzić.

S T R A Ż A C Y

Czekaliśmy z kolacją i nie mogliśmy się doczekać. Narazie rozległ się dzwonek, wszyscy razem wybiegliśmy z lampą do przedpokoju. Ukazał się ojciec, w zaśnieżonym futrze, z ośnieżonymi wąsami.

— Dlaczego tak późno?! — westchnęła mama.

— Trudno, nie ma rady — odpowiedział, zdejmując kalosze — zostałem prezesem.

— Jeszcze ci tego brakowało! — Mama była widocznie niezadowolona. — Wszystko dawno wystygło.

Dopiero przy kolacji dowiedzieliśmy się, czego prezesem został ojciec.

— Czy to wogóle wypada — spytała mama, składając serwetki — ażeby poważny człowiek, doktor, zostawał prezesem straży ogniowej w jakimś tam Skrzybowie?

Gdy była niezadowolona, dodawała zawsze do nazwy naszego miasteczka słowo „jakimś tam”.

Mój starszy brat, Irzek, podniósł rękę do góry i wykrzyknął: — Straż ogniowa!

Z tego okrzyku od razu domyśliliśmy się, że to rzecz wspaniała.

Na to mama do ojca: — Nie będziesz się przecież wspinał po drabinach?

Ojciec z początku — nic, potem dodał krótko: — Ha, trudno!

Żał go nam było. Wierzyliśmy, że dla mamy gotów się poświęcić i nie wspinać się wcale. Szkoda, na pewno wspinałby się świetnie. Jak na majówkach podczas wyścigów przybiegał zawsze pierwszy do mety przed naszym nauczycielem i aptekarzem — tak samo byłoby i z drabinami.

Następnego dnia chwycił mróz. Prawie tyle stopni, ile jest w rozporządzeniu, by można nie iść do szkoły. Zostaliśmy w domu. Siedzieliśmy przy oknie od rana, Irzek żałował, że nie możemy powiedzieć w klasie o ojcu.

— Strażaków może być dużo — twierdził — ale prezes jest na pewno tylko jeden. Prezes dowodzi wszystkimi.

Jak zawsze, około godziny jedenastej otworzyła się furtka naszego ogrodu i wydeptana w śniegu ścieżką zaczął iść nasz listonosz Kowalski. Wchodził przez kuchnię. Stawał na słomiance, tupiał, stękał, grzebał w skórzanej torbie, która mu wisiała przez plecy, a mama mówiła przez ten czas: — Ciekawam, jak się dziś spisał pan Kowalski?

Po tym powiedzeniu podawał z torby gazetę albo listy i wołał przez duże wasy takiego samego koloru, co torba: — Spisał się, proszę pani doktorowej, spisał.

Dziś też podał gazetę, ale potem zdjął czapkę z małą trąbką nad daszkiem i powiedział: — Ja do pana doktora, proszę pani. Do naszego pana prezesa.

— Widzisz! — wrzasnął Irzek.

Okrzyk ten znaczył, że już wszyscy „wiedzą o naszym ojcu” w mieście.

Mama przeprowadziła Kowalskiego z kuchni przez całe mieszkanie do przedpokoju, mówiąc po drodze: — Że też to i Kowalskiemu strzeliło do głowy na stare lata?! Zabłoci mi pan wszystkie podłogi.

Pocałował mamę w rękę i odpowiedział: — A panu doktorowi nie strzeliło?...

Siedzieliśmy z Irzkiem w przedpokoju na kulrze i czekaliśmy, co z tego wyjdzie dalej. Wyszedł ojciec w białym fartuchu, bo przyjmował chorych.

— Widzę — rzekł od razu — że nasza poczta ma się doskonale. Więc co, panie Kowalski? Kto choruje? Żona, dzieci?

— Proszę pana prezesa — rzekł uroczyście listonosz — ja się melduję do straży ogniowej.

— Bardzo pięknie. — Ojciec podziękował, ale dodał „nawiasem”, że do straży potrzeba ludzi młodych, krzepkich. — Wyście człowiek sterany i dzieciaty.

Kowalski nie dał ojcu skończyć. Uderzył się w piersi i zawołał: — Panie prezesie, obowiązek!

Ojciec wzruszył ramionami, potem zgodził się, wypuścił Kowalskiego frontem, nam kazał wyjść do jadalni, abyśmy się nie zaziębili w przedpokoju, tak że dopiero z jadalni usłyszeliśmy ostatnie słowa ojca do listonosza.

— Swoją drogą, nazywajcie mnie po staremu doktorem, a nie żadnym prezesem.

— Dlaczego wołał być doktorem?

Straży ogniowej powodzi się coraz lepiej. Ciągłe musiał ktoś dla niej coś robić. Ojciec powtarzał przy tym srogo:

— Bez żadnego gadania! To trudno.

Zaczęło się jakby nic od orkiestry.

Pewnego popołudnia, gdyśmy razem szli na wizytę, mama zatrzymała się nagle koło magistratu. Wskazując oczami okna pierwszego piętra, spytała: — Cóż to za straszne dźwięki?

Ojciec odpowiedział spokojnie: — Zobaczysz, nasza orkiestra. Brak im jeszcze tylko hełmów.

Mama westchnęła żałośnie, tymczasem wnet okazało się, że nie miała racji. W sobotę po południu ojciec wrócił nagle skądś i powiedział zaraz w przedpokoju: — Hełmy są.

Tego samego dnia, a już wiosna była, stał się z powodu tych hełmów cały wypadek. Pierwszy raz w życiu wyszedł z naszego magistratu na miasto Kowalski w strażackim kasku.

Widzieliśmy z okna całą gromadę chłopców, którzy lecieli za nim i rzucali kamieniami. Niósł w ręku czarne, lakierowane pudło, jakby do męskiego kapelusza. Gromadka chłopców zatrzymała się przed naszymi sztachetami. Nasz stary woziwoda, zobaczywszy Kowalskiego w hełmie, splunął, kucharka Filipina roześmiała się na cały głos:

Kowalski nic, jak mur. Hełm mu zachodził głęboko na czoło, tylko wąsy sterczały spod daszka. My też w pierwszej chwili zaczęliśmy „ryczeć” ze śmiechu.

Na to nadszedł ojciec, w czarnym ubraniu, bo się gdzieś wybierał na miasto:

— Co za głupie hałasy?! — Kazał się każdemu, zając swoją robotą, patrzeć „swego nosa”, otworzył lakierowane pudełko, wyjął hełm w białej bibułce i przymierzył przed lustrem.

Wyglądał — jak Sobieski. Mimo to mama strzepnęła rękami z okrzykiem: — Nie będziesz przecież tak chodził po mieście?!

Ojciec popatrzył na nią, potem podał rękę Kowalskiemu i rzekł: — Dziękuję, panie plutonowy.

Kowalski przyłożył rękę do daszka: — Tak jest, panie prezesie. — Za sztachetami znów go obskoczyli chłopcy z wielkim gwizdem. Szedł prosto przed siebie, jakby nic nie słyszał.

Gdy skręcał w ulicę Moniuszki, rzekł Irzek: — To będą Rzymianie...

Nie pomylił się. W następną niedzielę odprawili ogromne nabożeństwo, wystąpił sztandar strażacki, potem przechodził pochód. Cała orkiestra w hełmach. Kapelmistrzem był nasz nauczyciel. Dyrygował złożoną maczugą. Zaraz za nim szedł listonosz Kowalski. Nie niósł żadnej torby z listami, lecz olbrzymi bęben, w który walił bez miłosierdzia.

— Kowalski grzmi aż miło — powiedział aptekarz do mamy.

Na czele kroczył naturalnie ojciec w czarnym surducie, z kwiatami przy klapie i w hełmie.

Irzek wrzasnął dwa razy — niech żyją Rzymianie — za trzecim razem mama mu nagle zakazała. Pomimo ślicznej pogody, uroczystości, pochodu, była bardzo niezadowolona. Powiedziała wprost: — Marzę tylko, aby się ten dzień skończył nareszcie.

— Hełm i czarny surdut — westchnęła — to okropne.

Na szczęście dzień ten trwał jakby dwa razy dłużej od innych. Wieczorem odbył się znów pochód i uroczyste ćwiczenia, zakończone sztucznym pożarem. Okazało się, że strażacy wybudowali sobie drewnianą wieżę na bloniu przy magistracie. Miała dwa piętra, na każdym cztery okna, w cztery strony świata, z których wypatrywano się ognia.

Po zachodzie słońca, kiedy można już było uważać, że zapanowała noc, wytrysnęły z wieży fajerwerki. Z samego szczytu rakiety, w oknach złote deszcze chińskie i młynki. Oznaczało to pożar.

Z daleka rozległ się głos trąbki, zadudniły magistrackie bułany. Przed wieżę podjechały z dzwonieniem łańcuchów dwie nowe sikawki mosiężne. Na drugiej jechał Kowalski, wąsy mu sterczały spod hełmu. Nasz nauczyciel był dowódcą, wszyscy mieli topory. Przyskoczyli z różnych stron do wieży, wydawali rozkazy. Kowalski straszliwie srogo, ale wszystkich przekrzyczał nasz ojciec, zawoławszy piorunującym głosem: — Do pomp!!!

Nikt się nie ruszył. Wtedy ojciec wystąpił i odsunawszy hełm na bakier, wytłumaczył publiczności, że jak strażak

ma obowiązek spieszyć, nawet płonący dom przepatrzyć, czy tam nie zostało jakieś „żywe” istnienie, tak każdy obywatel ma w czasie pożaru obowiązek pospieszyć do pomp.

Okazało się przy tym, że ojciec jako prezes ma prawo każdego spotkanego i w ogóle ludność, wszystkich wołać do pomp. Tymczasem strażacy już stukali toporami w wieżę, Kowalski i trzech innych z czterech stron wspięli się na drabinach, aby ratować ginącego „na niby” w pożarze człowieka.

— Wszystko jedno — objaśnił nam aptekarz — człowieka, kobietę czy dziecko. Najczęściej nawet bywa dziecko.

Pożar udał się znakomicie. Na drugi dzień przyszedł Kowalski, jak zwykle koło jedenastej. Wierzyć się nam nie chciało, że to ten sam zwykły człowiek, listonosz, który był wczoraj tak dzielnym plutonowym.

Jak zwykle grzebał w torbie na słomiance. Mimo że dał trzy listy, mama nie zapytała go — jak się też dziś spisał? Była obrażona. Powiedziała krótko: — Dziękuję.

Westchnął i sam zaczął: — Ale udało się wczoraj, proszę pani prezesowej?!

Mruknęła — et — że nie jest żadną prezesową — i koniec.

Wcale się na tym nie skończyło. Tuż przed wakacjami, w czerwcu miała być druga uroczystość. Nie wiadomo dokładnie, jaka? Uczyliśmy się do niej pewnego hymnu, który razem z orkiestrą strażacką mieliśmy śpiewać pod dowództwem naszego nauczyciela.

Okna klasy były otwarte, śpiewamy — coś jest źle — przestajemy — znowu zaczynamy. Z daleka słychać nagle jakby szum, bójkę — i nic.

Znow jest coś źle, przestajemy — tymczasem z daleka słychać dwa razy więcej, i gwar, i piski, i wrzaski. Znowu zaczynamy hymn, aż tu wpada nasz stróż, ślepy na jedno oko i krzyczy w progu: — Pali się! W mieście pożar!

Nauczyciel rzucił swą pałeczkę — podczas uroczystości obiecał dyrygować złotą maczugą — krzyknął: — Zaczekajcie spokojnie! — i wybiegł.

Czekamy, na mieście krzyk się wzmaga, przychodzi do klasy żona naszego nauczyciela i mówi znowu, żebyśmy byli spokojni, bo pali się daleko, dopiero na Zagórze. Widocznie zapomniała, że na Zagórze mieszkał Matecki, Kulik i Jezierski.

Naturalnie, Matecki, Kulik i Jezierski w płacz. Na to

żona naszego nauczyciela — że się na pewno pomyliła, bo pali się z pewnością i zupełnie gdzieindziej. Na to jeden, drugi i trzeci — aż wreszcie wszyscy w płacz, że się u każdego pali!!!

Żona nauczyciela zbladła, sama się prawie rozplakała. Prosiła, byśmy poszli do domów — nie biec gościńcem, tylko chodnikami!

Wyskoczyliśmy ze szkoły jeden przez drugiego. Po drodze spotkać można było wielu rodziców. My z Irzkiem pędzimy do domu, że to się u nas pali, choć cały tłum ludzi biegł w przeciwną stronę. Mamę spotkaliśmy niedaleko sklepu z niemi.

Szła bez kapelusza, powtarzając: — Ależ ojciec, ojciec...

Pałło się nie na żadnym Zagórze, a niedaleko rzeki, na ulicy Kilińskiego, dom krawca. Czy bardzo się paliło, czy może mniej, nie pamiętam. Widok był wspaniały. Nikogo nie puszczają. Trzeba stać z daleka. Dym wali pod niebo. Czasem żywy płomień przebija się przez dach jak nóż. Pod domem błyszczą nowe sikawki, zwykłych beczek dwukołowych nie liczę.

— Ojciec! — krzyknęła nagle mama.

Był tam, był jak dowódca, Rzymianin. Dowodził. Właśnie przyskoczył w hełmie do tłumy i kilku ludzi porwał z sobą do sikawek.

— Do pomp! — krzyknąłem i rozplakałem się z radości.

Wodę tryskającą z węża widać było jak na dłoni. Biła głośno w ścianę.

— Pomyśl, jak się ogień wścieka — krzyknął Irzek.

Słychać było naraz chyba tysiąc głosów. Iskry z komi na leciały aż na nas. Dopiero później zobaczyliśmy na trawie leżące poduszki, pościel, łóżka przewracane, miednice, samowary, stołki, szafy. Jakaś krowa tak strasznie ryczała z boku, że nie można było wytrzymać.

Nagle tuż obok rozległ się krzyk, że w domu został żywy człowiek i że ten człowiek daje znaki. Ktoś widział machanie chustki czy też mokrej szmaty i że nawet ma ty mi szmatami głowę obwiniętą...

— Nie mówcie tego ludzi, nie mówcie — prosiła mama na próżno.

Jedna kobieta przedarła się przez tłum, dopadła naszego nauczyciela, który wydawał rozkazy. Widzieliśmy, jak potem doskoczyła do ojca. Słyszeliśmy, daliśmy się porwieć „na miejscu”, żeśmy słyszeli, jak ojciec zawołał: — Kobieto, to nieprawda!

Wówczas przyskoczył do nich Kowalski, wasy mu sterowały spod hełmu niczym różgi. Ojciec do niego: — Odprowadź ją zaraz!

Krzyknęła w niebogłoso.

Na to ojciec rozwiązał połamami surduta i na całe gardło wykrzyknął, żeby wszyscy słyszeli: — Rzecz była sprawdzona!! Ja wam przysięgam, ludzie, tam nie ma nikogo!

Po tłumie rozeszło się szemranie, coraz głośniejsze, wreszcie pomruk gniewu i hałas.

Dalszego przebiegu nie było słycać wyraźnie. Ojciec machał rękami, raz po raz uderzał się w czoło jakby dla oznaczenia, że ktoś zwariował, mały Kowalski prężył się przed naszym ojcem, coraz głębiej zsuwając hełm na czoło. Wołali jakichś innych strażaków. Kowalski wciąż ich sobą zasłaniał, ojciec wciąż wymachiwał, potem nagle rozległy się głosy ze wszystkich stron: — Listonosz! Idzie listonosz! Patrzcie ludzie!

Widzieliśmy: oblepiony mokrymi szmatami wpadł do domu na parter.

Mama zaczęła drzeć, po prostu jak liść. Ojciec stał we drzwiach pożaru, przesłonięty gęstym dymem. Ucichło zupełnie. Słycać było łanie wody, a ogień strzelał, swobodnie jak pod blachą.

— Jeżeli wam mąż mówił — wołała mama przez ły — jeżeli wam mój mąż mówił, którego znacie, że tam nie ma nikogo!??

Kowalski ukazywał się kolejno w oknach i dawał tłumowi znak oburącz, że nikogo nie spotyka. Mama za każdym razem powtarzała ze łzami: — Listonosz, Kowalski! Nasz listonosz, Kowalski — nasz listonosz...

Nareszcie wypadł z drzwi prosto w objęcia mego ojca. Pożar ugasili. Okazało się, że straż działa świetnie, że belka przytłukła magistrackiego bułanka i że na końcu ojciec pokłócił się z panem poczmistrzem.

Poczmistrz mówił, że Kowalski wiedział, że w domu nie ma nikogo, ostatecznie nikogo nie uratował, a takie popisywanie się, gdy się ma żonę, dzieci i ważny posterunek, nie przystoi rozsądnemu człowiekowi.

Ojciec zaczerwienił się gwałtownie i odpowiedział: — Niech pan w ogóle o tym nie mówi. Kowalski wiedział, że tam nikogo już nie było, mimo to poszedł, naraził życie, aby uspokoić ludzi i pokazać dowodnie dzielność naszej straży, za co go szanują jeszcze więcej, jeżeli pan łaskaw!

Następnego dnia było u nas sprzątanie, listonosz jak

zwykle przyszedł około jedenastej. Gdy tylko rozległ się dzwonek, mama schwyciła kluczyki i mimo że była w białym kaftaniku do sprzątanania, wybiegła do kuchni.

— Nie spodziewaliśmy się takich rzeczy: wzięła pana Kowalskiego szybko pod rękę, razem z torbą, w listonoszowskiej czapce, bo nie zdążył zdjąć, wprowadziła go do jadalni. Na stole zjawilo się czerwone wino. Napili się przy oknie, mama z naszym listonoszem.

Potem rozłożyła ręce i zawołała: — Wierzyć mi się nie chce, żeby się pan tak spisał!

— Ano cóż, proszę pani prezesowej — odpowiedział — w nieszczęściu nigdy nic nie wiadomo. Tylko obowiązek wiadomy.

Mama zbladła, spojrzenie jej zalśniło — przecudnie!

— Ach, panie Kowalski — westchnęła i nagle, choć był przecie starszym od niej, jakby któregoś z nas, jak własnego syna, ze łzami w oczach pogłaskała po siwiejącej głowie.

ZABAWA W WOJSKO

Świetna armia angielska mego starszego brata Irzka powstała właściwie z powodu zapalenia płuc naszej babci. Podczas całej choroby rodzice, żeby nie zasnąć przy czuwaniu, wycinali z kartonu żołnierzy.

— Jedyna rzecz na złe myśli i zmartwienia — śmiał się potem ojciec.

Gdy nas nareszcie wpuszczono do pokoju chorej, zwróciły moją uwagę dwie sprawy. Pierwsza — babcia schudła ogromnie. Druga — to stęsy kalendarzy lekarskich, gruby Szekspir z obrazkami i Mickiewicz w twardej oprawie, którzy jako prasa leżeli na arkuszach żołnierzy podklejonych giętkim kartonem.

Pod prasą tą schły zazwyczaj nasze armie, po czym wycinało się poszczególne figury i naklejało na klocek.

Jak każde tak i nasze wojsko było przede wszystkim wielką fabryką. Trzeba było mieć klej dobrze zrobiony, nie za dużo mąki, nie za dużo wody. Gotowaliśmy go z Irzkiem na kuchni w małym garnuszku. Czasem przypalał się i stara kucharka Filipina wyganiała nas ścierką do pokoju.

Trzeba było mieć dużo odpowiedniej tektury, nie za grubej, nie za cienkiej. Trzeba było rozporządzać znaczną ilością kalendarzy do prasowania. Aby przyspieszyć robotę,

przesiadaliśmy długie godziny na grubych książkach, pod którymi schły szeregi piechoty, artylerii i konnicy.

— Idziemy się przejść — wołała mama — to już ostatnie dni słońca, listopad za pasem.

Dotąd, ile razy widzę czarne gałęzie, na przygastym niebie rozpostarte, słyszę słowa — listopad za pasem.

— Nie możemy — odpowiadaliśmy z kancelarii — bo właśnie prasujemy.

Trzeba było mieć klej, tekturę, piłkę, którą rzneliśmy sosnowe linijki na podstawki, czyli klocki dla naszych batalionów.

— A gdzie artyleria?! Były nią drewniane proce ze skórzaną łątką (siodełko) na gumowej cięciwie. Strzela się papierem bardzo mocno zwiniętym. Środek pocisku spoczywał na siodełku, końce trzymało się w palcach.

Nie wiem, czy to wszystko mówię dość wyraźnie? Czy można jednak o wojnie opowiedzieć dokładnie?! Za dużo rzeczy dzieje się wtedy naraz, by mógł je ktoś dobrze spamiętać! A u nas właśnie po zapaleniu płuc babci zaniosło się na wielką wojnę wyciętych przez ojca podczas choroby Anglików z różnymi moimi szczepami.

— Chorobę pokonaliśmy i nie ma już żadnej obawy — rzekł pewnego popołudnia ojciec wyszedłszy z pokoju babci. — A tu masz jeden z drugim.

Irzkowi dał 50 wyciętych doskonale angielskich piechurów, mnie 30 konnych Beduinów. Beduini byli chyba sto razy ładniejsi od Anglików. Jechali na rozpędzonych czarnych koniach, mieli na głowie turbany. Okryci byli w białe zawoje. Twarze mieli wszyscy brązowe. Koniom leciał spod kopyt kurz pustyni.

— A twój co? — skrzywiłem się do Irzka.

Ustawił Anglików na podłodze czwórkami. Na obciosanych równo klockach trzymali się w kolumnie mocno jak mur.

— Co twoja głupia piechota?

— Dlaczego głupia? — spytał ojciec.

Mieli na głowach białe kaski, przez plecy na czerwonych bluzach białe rzemienie. Karabiny trzymali wszyscy tak samo na ramieniu. Ustawieni czwórkami, wyglądali z daleka jak włosy do góry odwrócona szczotka.

— Dlaczego ta piechota jest głupia? — odpowiedziałem ojcu — no, bo cóż?

Irzek przerwał i zawołał: — Zobaczysz ty tę głupią piechotę!

Rozmawialiśmy o tym na spacerze. Ojciec twierdził, że całe to wydarzenie było ważne, gdyż ja właściwie w imieniu Beduinów wypowiedziałem wojnę Anglikom.

— Obie strony — dodał po chwili — muszą się do tego przygotować. Ponieważ babcia ma się znacznie lepiej, można będzie o tym poważnie pomyśleć. Więc chodźcie!

Skręciliśmy z drogi, nie nad rzekę i przez most, a prosto ulicą Kopernika.

— Zdaje się — tracił mnie Irzek, gdy ojciec przystanął, by porozmawiać o chorobie babci z jakimś panem — zdaje się, że idziemy do Fiszera?

— Nie wiadomo — mruknąłem. Nie śmieliśmy myśleć o tak ogromnej radości. U Fiszera w sklepie z zeszytami kupowało się zawsze żołnierzy.

— Tak, drogi panie sędzio — rzekł ojciec panu, z którym rozmawiał. Potem do nas: — Ukłońcie się! Idziemy!

Minęliśmy aptekę, kościół, pomnik Kościuszki i skręciliśmy w lewo.

Dopiero w drzwiach sklepu krzyknęliśmy razem z Irzkiem: — To Fiszer!!

Ojca znali tu wszyscy, nazywając panem konsyliarzem. Nic dziwnego. Na ulicach też kłaniano mu się bardzo chętnie, a aptekarz z daleka już wołał: — Sługa pana doktora! — Cóż dopiero u Fiszera, który nie miał tak wspaniałego sklepu jak apteka.

Zaczęliśmy wybierać. Irzek, naturalnie na złość, wybrał sobie dziesięć arkuszy takiej samej piechoty angielskiej. Mnie podobali się biegnący Afrykańczycy z kindżałami w zębach. Byli w niebieskich bufiastych portkach, czerwonych bluzach i czerwonych turbanach.

Podobali mi się też Indianie z piórami na głowach, Bazybożycy w zielonych wyszywanych kamizelkach, oprócz tego kawaleria egipska, dwa arkusze Zulusów z dzidami i jeden arkusz Chińczyków.

Zaczęły się przygotowania do wojny, Irzek prasował swą piechotę powoli i dokładnie. Chciał koniecznie, żeby wszyscy Anglicy byli jak tych pięćdziesięciu, których dostał „na cześć babci”.

Całymi godzinami siedział na górze kalendarzy.

Ponieważ czas bitwy zbliżał się (za dziesięć dni — w niedzielę), więc nie prasowałem tak długo, chcąc wystawić jak najwięcej Beduinów do walki. Rozklejali się trochę, druk odłaził od tektury, ale za to była ich duża gromada.

Irzek wycinał swą piechotę dokładniusiętko, każdy szew, ja moich Zulusów strzygłem, zostawiając po bokach sporo papieru, byle wydażyć jak najwięcej. Irzek piłował sosnowe linijki, przedtem mierzył centymetrem, nie zostawiał z boku jednej drzazgi. Ja „waliłem” na oko. Za to armie moje, które ojciec nazwał „wojskami dzikich szczerpów”, rosły niezmiernie szybko.

— Ile masz? — spytałem po kolacji.

— Stu pięćdziesięciu.

— A ja przeszło trzystu.

Do pójścia spać robiliśmy kule... Ojciec czytał gazetę, deszcz ze śniegiem pluł za oknami. Mama siedziała z włóczkową robotą, a my naprzeciw siebie skręcałiśmy pociski. Irzek zaginał papier dokładnie, dziesięć razy przy mierzał do procy. Wtedy jeszcze raz powiedziałem mu, że jego Anglicy są głupi.

Ojciec odłożył gazetę i rzekł: — Powinieneś być rycerskim wobec wodza wrogiej armii.

— Ale jeżeli robi kiepskie kule? — zaśmiałem się triumfująco. Moje były ogromne. Słabo zwinięte ale za to olbrzymy.

Ojciec spytał, czy jaka potęga neutralna może obejrzeć nasze przygotowania wojenne? Pozwoliliśmy. Anglicy stali w równych kolumnach, klocek obok klocka, łokieć obok łokcia, jak mur. Ojciec powiedział do nich: — Aha — i przeszedł na drugi koniec stołu do moich Beduinów. Do Beduinów, Zulusów, Afgańczyków i Egipcjan.

Nie trzymali się twardo, klocki były nierówne. Spojrzawszy na moją amunicję, rzekł: — Dużo, ale może za miękka? I w ogóle! Zdaje mi się, że to wszystko robisz nieco za prędko. Tymczasem na wojnie, jak wszędzie, więcej chyba znaczy jakość niż ilość.

Odpowiedziałem, że na Beduinach i Egipcjanach znam się lepiej. Pracowaliśmy dalej, a ojciec zaczął opowiadać: gdzie mieszkają Afgańczycy, w jakich górach straszliwych i skalistych. Skąd tu przyjechali Egipcjanie? Z nad Nilu. Nad tą rzeką niebieską stoją wysokie palmy, a w nocy księżyc osrebrza piramidy. Zulusi hałasują w Afryce, gdzie guma płynie z drzew jak żywica. Tymczasem Beduini przyzwyczaili się już do piachów swej Pustyni Arabskiej. Każdy szczerp i lud ma swój kraj i właściwie jest mu tam bardzo dobrze.

Chcieliśmy, by jeszcze o tym opowiadał, gdy ojciec

nagle: — Wobec tego wszystkiego może by zaniechać wojny? Można by się doskonale ułożyć.

Radził nam dywan w salonie mianować płaszczyzną — Arabią Beduinów. Długi chodnik Nilem, nad którym spokojnie siedzieć będą Egipcjanie. Stolik do kart Brytanią, czyli wyspą dzielnych Anglików.

— Nigdy w życiu — krzyknęliśmy razem z Irzkiem — będzie wojna!

— W takim razie — ojciec się zasmucił — trudno. Już późno, idźcie spać!

Po dziesięciu dniach nastąpiła wreszcie niedziela wielkiej bitwy. Rano powtórzyliśmy lekcje i zaraz po obiedzie, który dzięki bitwie i Filpinie, idącej na nieszpory, musiał być dzisiaj wcześniej — zaczęło się.

Gdy Anglicy wychodzili do boju, w imieniu wszystkich moich szczerpów śmiałem się i szydziłem. Irzek to samo, gdy spod stołu i spod foteli wyłoniła się moja konnica. Gardaliśmy ciągle, z czego powstał wielki hałas.

— Nie mam nic przeciw temu — rzekł ojciec przechodząc przez pokój — zawsze tak jest przed każdym wielkim wydarzeniem.

Ja wszystkie swoje szczerpy rozwinąłem w kilkunastu łańcuchach. Najdzielniejsi Beduini pędzili w pierwszym, potem baszybożucka piechota, Zulusi z dzidami, Egipcjanie. Jeszcze dalej Afgańczycy, Kretynicy w białych spodniach i konni Indianie z tomahawkami w ręku.

Bitwa polegała na tym, że się strzelało z procy dwadzieścia razy. Po strzałach patrzyło się, kto miał na danym skrzydle więcej strat. Zwycięzca szedł naprzód, mając prawo strzelania z bliska.

Podczas całej bitwy obie strony mówiły ciągle przeze mnie i przez Irzka o tym, co się dzieje.

— Jest to konieczne — twierdził ojciec — odpowiada to depezmom z placu boju.

Przed samą bitwą było wielkie trąbienie.

— To też słuszne — mówił ojciec — musi tak być, bądź co bądź narody wojujące muszą sobie dodać odwagi.

W ostatniej sekundzie przed bitwą obowiązani byliśmy, już z procami w ręku, do próby pojednania.

— Poddaj się — krzyknąłem do Irzka, który „na to” zbladł złowrogo i w odpowiedzi puścił pierwszy pocisk.

Krzycząc „Hurra!”, wymyślając nieprzyjacielowi, dodając w ten sposób swoim odwagi, zaczęliśmy strzelać. Gład

kie, dobrze złożone, twarde pociski Anglików okazały się groźne. Beduini z niedobrze wyciętym papierem, baszybożucka piechota na nierównych klockach padała tłumnie ze „straszonym” szelestem. Moje wielkie pakułowate kule odbijały się od kolumn piechoty angielskiej bezradnie.

Po pierwszych dwudziestu strzałach lewe skrzydło Anglików („Ja dowodzę na lewym!” — krzyczał Irzek) poszło naprzód. Z moich trzydziestu najlepszych Beduinów zostało czterech, z 50-ciu boszybożuków — dwunastu.

— Anglicy cicho, świetnie, jak jeden mąż, w ciasnej kolumnie, nic nikomu nie mówiąc — gadał Irzek.

Nie mogłem tego słuchać. Wysunawszy spod fotelu rezerwę, mówiłem szybko do swoich: — Na to z dzikich puszcz, z nad Nilu, Afganistanu, z Indyj, z Krety krzyknęli razem wszyscy: — Bracia, nie dajmy się podłym Anglikom, naprzód!!! Drżącymi rękami zapełniłem wyrwy wśród szeregów, — nastąpiło nowych dwadzieścia strzałów.

Już padli wszyscy Beduini, Egipcjanie walili się pokotem, twarde kule szorowały przez moje łańcuchy na wskroś. Moje „śmieciaste” pociski odbijały się od kolumn angielskich, nic im prawie nie szkodząc. Lewe skrzydło wroga posunęło się już znacznie naprzód. Irzek na przemianę trąbił marsza wojkowego i krzyczał: „Hurra!”

Słowa mi więzły w gardle od łez. Afgańczycy i Kreteńczycy musieli się cofnąć.

— Hurra! — krzyczał Irzek — niech żyje Anglia!

Ja na to: — Wobec tego dzielni Afgańczycy, widząc, co się dzieje, że im niewygodnie walczyć na nizinie, cofnęli się mężnie ze śmiechem radości!

U KUŚNIERZA

Po godzinnej walce Irzek strzelał już nieomal w pośrodku moich wojsk. Anglicy mieli straty bardzo małe. Pole walki bielilo się od Kretończyków. Szczepy moje stały w małej gromadce, przyparte do muru. Łzy kapały mi na fartuch (jako wodzowie wdziewaliśmy fartuchy), ale wciąż jeszcze mówiłem za swoich niedobitków słowa Jagiełły z zadanego wiersza: — „Mam mieczów dosyć, lecz i te się zdadzą na karki dumnych!”

Ojciec czekał cierpliwie w drzwiach na koniec walki. Raz tylko podczas wynoszenia rannych (to znaczy musieliśmy pójść na podwieczorek) odezwał się do mnie: — Od

razu miałem wrażenie, że to wszystko robione było prędko a nieporządnie. Sama ilość nic nie znaczy. — Teraz milczał śledząc ze zmarszczonymi brwiami koniec walki.

Anglicy strzelali z tak bliska, że właściwie już prosto w brzuchy Indianom. Mogłem, albo rozpłakać się, albo jako wódz skoczyć na wódza Anglików, to jest Irzka z pięściami — gdy nagle otwarły się drzwi i ukazała się w nich babcia.

— Jak to?! Mama wstała? A to niespodzianka! — krzyknął ojciec. Po czym zwróciwszy się do nas: — Trudno moi panowie trzeba przerwać. Patrzcie, babcia wstała. Największe wojny świata też w końcu ustępują rodzinnym względom. Nie ma co!

Równocześnie dał się słyszeć znany szum sukni — mama z jadalni biegła na przywitanie.

Choć cieszyliśmy się zawsze na pierwszy śnieg, ślizgawkę, na sanki czy święta Bożego Narodzenia, zima przychodziła zawsze „dla domu” za wcześniej i dom przygotowywał się do niej zawsze za późno.

— Czy mama ma już węgiel? — pytała nasza mama babci w październiku, wspaniałym miesiącu opadających kasztanów.

Parę dni później, po obiedzie wyciągnął ojciec z pugilaresu pieniądze, położywszy przy serwecie mamy, nakrył je uroczyście ręką i powiedział: — Proszę cię, tu jest na węgiel i niech już jednego słowa więcej o tym nie słyszysz.

Wnet po tych pieniądzach zjawił się wóz węgla z czarnymi węglarzami, którzy zawsze przyjeżdżali wtedy, gdy było pranie.

Mama schwyciła się za głowę, z okrzykiem: — Boga w sercu nie macie, ludzie!

Grubszy, starszy huknął w odpowiedzi tak głośno, jakby był na bezludnej wyspie: — Wszyscy państwo na ostatnią chwilę. Tylko wóz i wóz. Węglarz się nie rozerwie!

Po węglu następowało kwaszenie kapusty i przesmażanie konfitur. Nie wiadomo dlaczego, najczęściej burzyły się najlepsze, to jest rajskie jabłuszka.

Później dopiero szło to, o czym mama mówiła, że przechodzi ludzkie pojęcie: opatrywanie wszystkich okien i drzwi.

Zjawiły się wtedy do domu niezliczone kilometry paszków „wacianych”, gdzieś nawet doktorska wata ojca brała udział. Zjawiał się też wtedy najbliższy przyjaciel ówczesnych naszych zabaw, żółty tłusty kit. Załepialiśmy sobie nim uszy i byliśmy dumni, że nie słyszymy, co się do nas mówi.

Po opatrzeniu okien mama z babcią w salonie, pod pie-

cem, i gdy obie odpoczęły, zawołała : — Myśli mama, że to koniec ? Teraz się dopiero zaczyna ! Przecież ja ich muszę na zimę — tu wskazała na nas — ubrać od a do z.

Wyrażnie „od a do z” uważaliśmy za dość niezręczne. Popierwsze dlatego, że co ma ubieranie do liter ; go drugie dlatego, że litery tyczą się alfabetu, który już dawno umieliśmy na pamięć i dawno już przestał nam imponować ; po trzecie dlatego, że wszelkie ubieranie łączyło się zawsze z przymierzaniem.

Do tej sprawy wmieszał się nawet ojciec. — Mają jeszcze wszystko doskonale — rzekł — z zeszej zimy.

Na to mama : — Więc zobacz, co mają. Wszystko dawno już powyrastane.

Ni stąd, ni zowąd zjawił się przed kanapą cały tobół zimowej odzieży. Z kieszeni ciepłych ubrań przesypywaliśmy „zatajone” płatki srebrnej naftaliny do specjalnie skręconych tutek papierowych.

— Mówisz, aby mówić — skarżyła się mama, przymierzając do nas z „zewnątrz” stare ubrania.

— Zaraz wszystko tu sprawdzimy. — Ojciec zatykał ołówek za ucho, ustawiał nas równo piętami do ściany, głową prosto do lakierowanych drzwi, odkreślał wzrost ołówkiem, a mama rozmawiała sobie już dalej bez ojca, jakby w tym wszystkim był zupełnie niepotrzebny.

Postanowiła uszyć nam tego roku zimowe płaszcze. Gotowych, takich, żeby nam mogło być w nich dobrze, nigdzie w mieście nie było.

— Na futra — mówiła — nie mam. Ale jak sama dam watolinę, to będę wiedziała, co dałam. A rzecz kupiona gotowa — zawsze wszystko wiatrem podszyte.

Babcia wzruszyła ramionami, że to są już za duże grymasy, mama odrzekła : — Ależ moja mamó — ojciec na to : — Róbcie sobie, co chcecie — i zaczęło się krojenie, szycie i przymierzanie.

Na podłodze leżały skalkowane formy, mnóstwo cienkiego, woskowanego papieru, na który czyhaliśmy od dawna. Następowało krojenie materiału. Dostaliśmy dużo doskonałych skrawków, z których robiliśmy sztandary, mundury dla naszych żołnierzy, a ze sztywnej „merli” znakomite ornaty.

Szycie zmieniało do niepoznaki całą geografię mieszkania. Dzięki leżącym częściom na podłodze, która dla nas była morzem, powstało pasmo „Wysp Sukiennych”. Watolina stanowiła góry lodowe, płynące z szaloną szybkością

150 stopni na godzinę do bieguna. Na te góry wjeżdżały nasze łodzie papierowe i tu, na biegunie, zatykaliśmy, pierwsi Europejczycy, sztandar Polski.

Nieprzyjemne naprawdę było przymierzanie. Trzeba stać bez ruchu w fastrygowanych pierzynach zimowego płaszcza, trzeba trzymać głowę do góry, gdy ciepłe palce mamy spinają na szyi ostrą, szorstką merlę. Trwało to zawsze za długo. Wykręcaliśmy się na różne strony i sposoby, póki nam mama nie obiecała, że za spokojne stanie kupi nam do tych płaszczów prawdziwe futrzane kołnierze u pana Jackowskiego.

Jackowski, kuśnierz !!

Choć nigdy nie widzieliśmy jego samego, należał wedle nas do najszczęśliwszych ludzi w całym mieście. Przechodziliśmy tamtędy codziennie do szkoły. Miał na wystawie prawdziwego wypchanego lwa, z oczami szklanymi, lecz jak żywymi, z paszczą otwartą, w której na straszliwych kłach leżał gruby, na różowo pomalowany jęzor.

Jackowski miał lwa, przy wbitym paliku tak samo wypchanego niedźwiedzia i osobno tygrysa. Zatrzymywaliśmy się tam codziennie, patrząc, co którego dnia trzymają te zwierzęta na sobie. Zawsze bowiem leżały na nich jakies nowe skórki.

Na pójście do pana Jackowskiego cieszyliśmy się szalenie. Spodziewaliśmy się, że uda się nam dotknąć sierści tych dzikich zwierząt. Od tego przecież panu Jackowskiemu nie ubędzie ? !

— Pamiętaj — dodał Irzek — na cześć pójścia do Jackowskiego skakaliśmy w pokoju na jednej nodze — lew ma paszczę, a tygrys ma paszczkę. Żebyś potem nie zapomniał.

Naturalnie, teraz staliśmy do przymierzania doskonale. Wszystko zależało od tego, kiedy się nareszcie skończy z płaszczami. Tymczasem mamie powodziło się z nimi coraz gorzej.

Babcia mówiła ciągle, że to jest wogóle przesada — tyle dzieci chodzi w gotowych, że i my możemy.

My byśmy też woleli gotowe.

Z watoliny porobiły się garby. Irzkowi na plecach, mnie na brzuchu. Fastrygowania i fastrygowania — bez końca. Przymierzaliśmy prawie codziennie. Staliśmy coraz niecierpliwiej w tych jakby watowanych ornatach, mama klęczała na podłodze. Widać było, że ogromnie przy tym myśli, bo na skronie wyskakiwał jej niebieski piorunek żyłki, jak kiedy grała na fortepianie.

Pierwszemu zdudziło się Irzkowi. Stojąc w watowa-

nym „przodzie”, cofał się nieznacznie w tył. Mama, żeby sobie nie przeszkadzać, posuwała się za nim na kolanach. On znowu w tył, mama znowu naprzód, na kolanach, coraz prędzej, w końcu z westchnieniem: — Jesteś naprawdę złym chłopcem!

Nie tylko on, ja robiłem tak samo, póki pewnego razu ojciec nie zobaczył. Podniósł brwi i od razu odechciało się nam wszystkiego.

— Zima minie — powiedział potem do mamy, a ty wciąż jeszcze będziesz nie gotowa.

Nie odpowiadała już na to ani ojcu, ani babci, ani nikomu i szła biegnąc oczyma po białej fastrydze, po szwie, który zsuwał się z maszyny.

Nareszcie wszystko już było prawie gotowe i nastąpiło południowe pójście do kuśnierza.

Wszyscy mieli do niego interes. Ojciec chciał sobie wybrać inną czapkę. Mamie mieli dodać skórek do futrzanej peleryny.

My — kołnierze.

Poszliśmy całym domem, padał śnieg.

Gdyśmy przysli, już się na wystawie p. Jackowskiego świeciło. Tygrysowi zwieszało się z grzbietu aż po pazury sąsiedniego niedźwiedzia śliczne futro „kawowe”. Mama westchnęła, że to na pewno bobry. Ojciec odpowiedział, że mu to wszystko jedno.

Lew trzymał w paszczy białe futerko. Płynęło mu przez zęby, po różowym języku, jak śmietanka z czarnymi przecinkami.

— Już wolę od razu — ojciec wskazał laską — te gronostaje. To jest przynajmniej coś!

Sądząc po lwie, tygrysie i niedźwiedziu, powinien być u pana Jackowskiego nie wiedzieć jaki ryk. Tymczasem właśnie, że było cicho.

Każdy odgłos głuszyły futra. Wisiały z sufitu, w przegrodach, leżały w długich szufladach, pod sam wierzch, jak wygładzone powidła.

O dotknięciu lwa, tygrysa, czy niedźwiedzia, choćby w ogon — mowy być nie mogło. Zwierzęta zastawione były szybą także od wewnątrz. Przyłożyliśmy do niej nosy i wachaliśmy.

— Wcale przyjemnie pachną takie zwierzęta — szepnąłem do Irzka.

Wyśmiał mnie. Nie była to wcale „woń dzikich bestyj”, a po prostu „zapach wypchania”. Irzek twierdził, że „wypchanie” czuć zawsze otrutymi motylami.

Nie mogliśmy o tym dłużej rozmawiać, zawołano nas do środka sklepu. Światło gazu odbijało się na goluteńkiej głowie p. Jackowskiego, jakby na złość rozmaitym gęstym futrom, które tu, w drugim pokoju, wisiały ze wszystkich stron. Ponieważ pan Jackowski nie miał włosów, nie mogliśmy poznać, czy jest stary, czy młody.

Na mamę i na nas nie zwracał żadnej uwagi. Mówił tylko do ojca. Przyjawszy chętnie papierosa rzekł: — Zapewne jakieś futerko dla pana konsyliarza?

Nikt tak jak ojciec nie umiał na takie rzeczy odpowiadać. Ojciec, zaciągnawszy się dymem, odpowiedział wesoło: — Ależ nic podobnego!

Zapadła cisza.

Pan Jackowski przymknął oczy, zamyślił się i odwrócił do mamy.

Wytłumaczyła mu, o co chodzi. O dwie skórki do peleryny, może o czapkę dla ojca, przede wszystkim zaś o kołnierze dla nas do płaszczy.

Pan Jackowski zaczął od peleryny. Radził mamie pozbyć się starej i wziąć coś nowego.

Ojciec usiadł przy ladzie i spytał: — Na przykład co?

Pan Jackowski z początku, jakby zawstydzil się. — Ach, panie doktorze — westchnął, po czym zaczęło się pokazywanie.

Jak się nazywały te futra, nie pamiętam. Były śliczne. Pomieszana razem jasność i ciemność — tak lśniły. Rodzice dotykali skórek ostrożnie. Pan Jackowski zmrużył oczy i dmuchał do środka: — Ten włos zawsze rozstąpi się jak puch.

Z pokazywania wynikała rozmowa. Rodzice siedzieli cicho, panu Jackowskiemu światło jeździło po łysinie. Opowiadał i jakby od razu dziwne nieznanne nam zwierzęta zaczęły kręcić się i skradać po całym świecie.

Opowiadał o bobrach kamczackich, wielkich jak konie. O sobolach, białych i niebieskich lisach, białych zającach i gronostajach nad brzegami Leny, na Syberii.

Zapamiętaliśmy od razu, że gronostaj ma latem włos popielaty, więc się na niego zastawia sidła tylko zimą.

Pan Jackowski musiał bardzo lubić te zwierzęta. Pamiętał na przykład jakiegoś cyweta, który ma na czarnym grzbiecie dokładną lirę białą ze strunami. Syberyjskiego rosomaka. Lubił oposum, nawet nasze lisy krajowe, kózki i barany.

Może zawstydzil się trochę przy królikach. — Królik,

panie doktorze — powiedział pan Jackowski — nigdy nie będzie sobą, zawsze nam służy do wszystkich imitacji...

— Nie mówił pan nic o czinczilla? — wtrąciła mama.

Pan Jackowski spoważniał. — Czinczilla — rzekł niskim nabożnym głosem — noszą tylko bardzo, bardzo bogaci ludzie.

Ojciec twierdził, że go „ci państwo” nic nie obchodzą. Chciał tylko jeszcze może dowiedzieć się, jak się w ogóle takie rzadkie gatunki zdobywa?

To, co pan Jackowski opowiadał o polowaniu na zwierzęta, rozumieliśmy doskonale. Że na foki wyjeżdżają specjalne flotyle, że na oryginalnego czinczilla poluje się w Kordylierach lub Andach i że sobole są już prawie wymordowane.

Nie zrozumieliśmy nic, gdy zaczął mówić o fabrykowaniu. Jak się to skóry moczy, na kosach zdziera błony, farbuje, suszy, strzyże, puszcza przez jakieś bębny z trocinami i pachem. Wszystkie farbują się, nawet najprawdziwsze, od niepamiętnych czasów. — Bo ludzie zawsze gonią za udaniem.

Pan Jackowski uśmiechnął się, dmuchnął na małą skórkę i rzekł: — Zrodziła się gdzieś pod biegunem, a teraz leży tu przed nami na desce. W takiej jednej skórce ma szanowna pani życia, pracy i śmierci — cały świat.

Potem machnął ręką i dodał: — Zresztą, jak w każdej wykonanej rzeczy.

— To rozumiem, panie Jackowski — ojciec uderzył się w czoło — to rozumiem, mądre powiedzenie.

Wybrano nam kołnierze. Jakie?

Skunksowe!

Irzek otoczył sobie zaraz tym futerkiem szyję i zaśmiał się do mamy: — Przymierzaliśmy te „wstrętne” płaszcze i przymierzali, ale się nam opłaciło!

— Skunksy pochodzą chyba z końca świata — dodałem i pobiegliśmy z Irzkiem przed lustro.

Mama chciała zobaczyć, jak nam będzie w tych skunksach. Czy „w danym razie” wystarczą dwie skórki?! Wołała do nas: — Chodźcież tu do mnie na chwilę!

Nie mieliśmy czasu. Irzek z nowym futerkiem na szyi za pomocą poruszania brwiami udawał bobra kamczackiego, ja rozdymałem policzki, powtarzając do samego siebie:

— Opossum — opossum — opossum.

Mama zawołała jeszcze parę razy, aż nagle zjawił się przy nas ojciec.

— Mam wrażenie — rzekł — że bez płaszczy jako takich nigdy by do kołnierzy nie doszło?

— Naturalnie — wykrzyknęliśmy razem.

— No więc?

— No więc, co? — Zadarliśmy z Irzkiem głowy do góry, by wyrozumieć ze spojrzenia ojca, o co mu chodzi.

— No więc — że się mama tyle naszyła, nafastrygowała, nakłęczała przy was? To już nie znaczy nic?

Podbiegliśmy ku niej mocno zawstydzeni, wzięliśmy ją za ręce...

Tak właśnie bywa w życiu: trzeba cały świat oblecieć, przez Kamczatkę, Kordyliery, Andy, by rzecz najprostszą zrozumieć... Cały świat oblecieć, by pojąć, że najwięcej światła jest najbliżej! Nie w kołnierzu skunksowym, bobrowym, sobolowym, gronostajowym a w tej fastrydze cieniutkiej, którą ktoś ukochany wszywał w naszą odzież swą miłość.

K o n i e c .

DZIEJE BAŚKI MURMAŃSKIEJ

I.

Zanim Warszawa ujrzała ją na Placu Saskim, dzieje żywota jej były epickie, jak wędrówka „kaniowczyków” do kraju przez Murmań, a rozgrywały się na tle egzotycznym, tam, gdzie foki są czymś tak rozpowszechnionym, jak w Polsce zwyczajne prosięta, gdzie zamiast maćkowej gruszy moroszka z klukwą rośnie, niewiasty zaś paradują w spodniach z futra i, nigdy się nie myjąc, wysmarowane zawsze tranem rybim, lśnią się na glanc.

Bohaterka mej opowieści urodziła się na Oceanie Lodowatym, o 250 mil morskich od zaśnieżonego lądu, na wielkim złomie kry, płynącej niby tratwa kryształowa z powolnym prądem mórz podbiegunowych.

Wydała ją na świat wspaniała macierz, królewski okaz białej niedźwiedzicy, mającej 2 m. 69 cm. wzrostu od nosa do ogona, a od ogona do nosa — drugie tyle, i poroślej śliczną sierścią, podobną do bujnego runa kóz angorskich.

Tak się złożyło, że Niedźwiedziówna (w pół roku potem przez legionistów polskich nazwana Baśką), ojca swego nigdy nie poznała.

A był to niedźwiedź osobliwy.

Miał w sobie coś z nieuleczalnych tęsknot Robinzona, coś nie coś z odkrywczych ambicji Kolumba. Macierz Baśki nie potrafiła swego małżonka do siebie przywiązać. W starym niedźwiedziu drgała niepocziwa żyłka obieżyświata, pokutował w nim wielki nicpoń i niebywały leń. Jak na bestię polarną był to stanowczo za duży kawał romantyka i fantasty.

Posiadał siłę niezwykłą, więc gdyby chciał, mógłby sobie polować bodaj na młode wieloryby. Stale jednakowoż włóczył się o głodzie, bo, wbrew zwyczajom rodowym i ple-

miennym, całkiem nie uśmiercał fok, będących dla niedźwiedzi białych pożywieniem głównym, lecz zaczął się dla czegoś na lotne mewy. Wywiesiwszy ze zmęczenia półokciowy jezor szkarłatny, z pyskiem do nieba zadartym, krwiożerczo kłańcając paszczą straszliwą, godzinami całemi ściagał kulejącym cwałem te ptaki, z żadnym, oczywista, skutkiem. To też jego pokarm powszedni składał się zazwyczaj z rozmaitej zdechliny morskiej, którą ocean w czasie przypływu na brzeg wyrzuca.

Tym oto trybem zbiegało ojcowi Baśki pomyłone jego życie. Aż zdarzyła się chwila, gdy do połowicy swej, będącej wówczas z Baśką w stanie odmiennym, poczuł taką abominację nieznośną, a zarazem wezbrało w nim tyle nagłej, porywczej, iście bestialskiej tęsknoty do samotnej włóczęgi naprzelaj wszystkimi morzami polarnymi, — że z kry, na której podróż poślubną odbywali, spełził cichcem do morza i dał stułokciowego nura.

A gdy leń z wody wynurzył, to nie obejrzawszy się nawet, popłynął gdzie oczy poniosą, z rozsadzającym włochatą pierś porykiem zwierzęcego szczęścia. A paraskał raz po raz, niby ochoczy koń w biegu, na dobrą wróżbę.

I prując z łatwością olbrzymim cielskiem bałwany morskie, nakształt torpedy, idącej pierwszym impetem, płynął wprost do północnego bieguna.

Bo mu się tak spodobało.

Tyle go widziano.

II.

Baśka przyszła na świat odrazu w pięknym futerku białym, z pyszczkiem pełnym śpiczastych zębów, zdrowych i mocnych, jak u młodego psa; zaś w łapach, zakończonych niedoleżnymi jeszcze pazurami, przyniosła właściwą swemu gatunkowi, wrodzenie doskonałą umiejętność bytowania w żywiole wodnym, na wzór ptactwa morskiego, które posiada sprawność pływacką w upletwionych nogach od chwili wyklucia się z jajka.

Stara niedźwiedzica w chwilę po rozwiązaniu czuła się tak dobrze, jakby nie położnicą była, ale noworodkiem; kwestia przyzwyczajenia: odbywać połogi w szczerym morzu, pod gołym niebem, na posłaniu z pękających lodów, w temperaturze R. 45 stopni niżej zera. I natychmiast wstąpił w nią duch wojowniczy, zażarty, rozjuszony, jakiego wnet nabierają te łagodne w istocie stworzenia, skoro tylko wywiodą małe.

Tegoż jeszcze dnia wypadło matce i córce puścić się

wpław przez ponure, rozbałwanione wielkim wiatrem morze, aby się dostać na najbliższy ląd. Zmusił je do tego wypadek, mający wszelkie znamiona katastrofy żeglarskiej. Oto lodowa tratwa, na której płynęły, nadwyrężona nieustannym szturmem fal, rozpekła się niespodziewanie na kilka kawałków, niezdatnych wskutek pomniejszenia tonażu do niedźwiedziej nawigacji. A dokonało się to z trzaskiem, przypominającym wiwatowy wystrzał armaty średniego kalibru.

Rozbitkinie, zanurzone nagle po same dziurki nosów w pieniające się odchyłisko słonej wody, musiały niezwłocznie, bez dłuższych namysłów, wybierać między dwoma najbliższymi punktami oparcia, jakie im w nowej sytuacji pozostawały. Pierwszy — znajdował się o 250 mil morskich na lądzie stałym, drugi — tuż pod nimi wprawdzie o 3.000 stóp tylko, ale — na dnie oceanu. Wybrały drogę dłuższą.

Potęga wiatru rosła, wydmuchując z wodnej otchłani nieskończone łańcuchy wysokich fal. Olbrzymie bałwany o pletwiastych, załamanych grzbietach tłoczyły się jeden po drugim nakształt lewiantów, przewracających się wśród ciężkiego pluskania z boku na bok. Ryczało morze, ryczała wniebogłosy stara niedźwiedzica, borykająca się z nawałą. Baśka, uciepiona ze wszystkich sił pyszczkiem do kosmatego uda matki, zamknawszy szczerlnie swe szczenięce jeszcze, nawpół ślepe oczki, płynęła chybocąc się niby łódka, holowana gwałtownie przez statek. Na progę życia poznała, co to jest wielki strach.

Po czterdziestu ośmiu godzinach walki z wiatrem, wodą i przestrzenią, wydostały się wreszcie na upragniony ląd. Śnieg, leżący tam grubymi zaspami, wydał się im czymś tak wygodnym i błogim, jak zdrożonemu włóczędze — ciepła pierzyna. Odrazu zakopały się w nim z głową i spędziły dwie doby bez ruchu. A pomimo wielkiego odrętwienia czuły w sobie dotkliwie wszystkie swe kości naraz i każdą z osobna.

Jeszcze po tym epickim exodusie nie zeszedł tydzień czasu, a już rozpoczęła się edukacja Baśki.

Cała nauka polegała na praktycznym poznaniu dwu umiejętności: myśliwstwa i sztuki pływackiej. Jakkolwiek tak szczupły zakres wiedzy z ludzkiego punktu widzenia może się zdawać czymś bardzo łatwym do osiągnięcia, nie należy zapominać, że każdy z dwóch działów nauki niedźwiedziej rozgałęzia się z kolei na tyle rónych „przedmiotów”. ile się ich wykłada w gimnazjum z uniwersytetem włącznie. Nadto istota ludzka, pomimo najświetniejszego ukończenia tych klasycznych uczelni, byleby tylko uzyskała odpowiedni dyplom, może być przez całe życie najklasyczniejszym bałwa-

nem, a jednak posiadzie szacunek bliźnich i uściśle sobie żywot aksamitny, podczas gdy niedźwiedź polarny swoje dwa działy wystudiować musi rzetelnie, aby właśnie w swym środowisku za bałwana nie uchodzić, boby stale puchnął z głodu i zjadłyby go łagodnie cieleta morskie, a mewy zadziobały żywcem.

Baśka, podobnie jak wielu sławnych ludzi w dzieciństwie, nie zdradzała w początkach edukacji ani wybitnych zdolności, ani tymbardziej zbytnej do nauki zapału. Sprawiała raczej wrażenie istoty nad wiek nierozwiniętej, ospałej, a do tego mocno krnąbrnej. Niedźwiedzica - matka nie szczędziła jej przeto upomnień wielce dotkliwych, wymierzonych doraźnie łapą rodzicielską. Od takiego upomnienia, któreby pogruchotało w drzazgi najętszą ławę szkolną, leciały z Baśki kłaki i rozlegał się kwik, jakby ją ze skóry obdzierano. Ale przecie miało to swój dobry skutek i uczennica pod okiem roztropnej nauczycielki zaczęła robić widoczne postępy.

Nie upłynęło trzech miesięcy, a Baśka najzupełniej poprawnie umiała sztukę podchodzenia fok. A niełatwa to jest rzecz, — podchodzenie fok — jeśli się zważy, że niedźwiedź biały jest wprawdzie biały, ale nos ma czarny. I Baśka w tym względzie nie była wyjątkiem wśród swych siostrzyc i braci. Od stóp do czubka głowy napuszyście biała, niby chodzący stóg waty, nie różniła się barwą od dziewiczych śniegów, wkrąg rozpostartych w mleczną pustynię, ale jej nosek wyglądał tak, jakby przed chwilą wyjęła go z pełnego kałamarza.

Gdyby nie czarny nos, tamecznym niedźwiedziom nicby nie brakowało do zupełnego szczęścia. W kraju, gdzie dobry Bóg całutki świat wytapetował na biało, nos o barwie czarnej jest w życiu dużą zawadą. Foka — głupie i głuche bydle — ale widzi dobrze i czarnego punktu, który się ku niej ostrożnie posuwa, bardzo nie lubi i zaraz daje nura do morza, gdzie jest panią sytuacji, gdyż pływa lepiej od swych białych tępicielei.

Dlatego to podchodzenie fok u niedźwiedzi białych jest kunsztem nieładą. Gdy kudłaty myśliwy zbliży się do swej ofiary na kilkadziesiąt stóp (a robi to kolując, z miną głupiafranta, jakby go foki całego świata nie obchodziły, ba! jakby o istnieniu ich nigdy nie słyszał) — dalej poczyna czoi-gać się na trzech łapach, a czwartą — nos zasłania sobie chytrze. Te ostatnie kilkadziesiąt stóp przepelza w parę, czasami w kilka godzin czasu, skradając się z istic złodziejską ostrożnością, aż przysunie się na odległość, którą przesadza

paroma skokami. Dopiero wtedy może być pewien, że mu łup nie ujdzie.

Z tych powodów zdobycie umiejętności zasłaniania nosa na łowach jest w gromadzie niedźwiedziej niejako tym, czym — matura szkolna w społeczeństwie ludzkim : kończy się szczeniakiem, zaczyna się niedźwiedź.

Pod wpływem częstych „upomnień” matki, Baśka tę umiejętność osiągnęła w stopniu dostatecznym. A ponieważ tę wiedzę wpajano w nią gorliwie, poczuła w końcu wielki wstyd, że ma wogóle nos, i poczytywała go sobie za jawną sprośność, której należy wstydzić się nadewszystko.

Warto było zobaczyć Baškę na ćwiczeniach łowieckich, gdy pod okiem macierzyńskim czołgała się do zabitej uprzednio fokki, zasłaniając szczerze swój czarny nosek. Robiła to gestem białej tapki tak wdzięcznym i wstydlivym, jaki się widzi tylko na obrazie — u Zuzanny, wychodzącej z kąpieli.

W owym czasie jeszcze większe postępy poczyniła Baśka w sztuce pływackiej. Na tym polu przewyższyła wkrótce rówieśnią sobie młodzież. Cudny to był widok ujrzeć ją zarywającą kąpieli.

Szkoła pływacka mieściła się w małej zatoce, którą tworzył Ocean Lodowaty, wrzynając się w łąd rozległym półksiężcem zielonej wody. Pochyliły brzeg, cały w śniegu, otaczał szmaragdową zatokę, jakoby szerokim srebrnym sierpem. Wylot ku morzu zagrodzony był potężnym murem lodozwałów, podobnych do ruin fantastycznej fortecy, przed wiekami postawionej z gór marmurowych i jakiegoś przezroczyściego kamienia.

W obrębie tych kilku mil niezamarzłej wody odbywały się pływackie popisy kilkudziesięciorga niedźwiedziąt obojej pici. Maciory patrzyły na widowisko, rozsiadłszy się na brzegu, jak matrony na kanapie. Młodociane pociechy używały tymczasem kąpieli, parszając jak tabun żrebaków, rycząc jak stado cieląt i czyniąc zgiełkliwy kwik a chrząkanie na podobieństwo owych dwóch tysięcy nierogacizny, o których stoi w Piśmie, że „z wielkim pędem wpadły z przykra do morza”.

W gromadzie kąpiących się niedźwiedziąt Baśka wyróżniała się zręcznością i wdziękiem. Nikt nie nurkował tak, jak ona. Gdy mając na grzbiecie kilka stóp przezroczej, jak dym wody, przesywała sobą wodne głębie, rzekłbyś — pocisk, zrobiony z wielkiej głowy cukru, idzie na dno kamieniem. W chwilę już potem kołysała się łagodnie na powierzchni zatoki „nakształt bałwana, ulepionego ze śniegu przez igrają-

ce dzieci. Albo płynęła wielkimi zygzakami, sterując z łatwym wdziękiem, niby biały łabędź po stawie.

Nikt też, tak jak ona, nie potrafił „robić chryzantemy”. „Robienie chryzantemy” w sztuce pływackiej u niedźwiedzi polarnych jest tak samo szczytem umiejętności, jak zasłanianie łapą nosa — w myśliwstwie.

Rzecz polega na tym, żeby złożyć wszystkie cztery łapy do kupy, wielki palec do wielkiego palca, grzbiet zgiąć w pałąk i, oddawszy się całkowicie wartowi prądu morskiego, płynąć bez najmniejszego ruchu, z wytkniętymi nad wodę nozdrzami. Takie ułożenie ciała daje doskonałą równowagę i pozwala płynąć bez najmniejszego wysiłku po kilka dni z rzędu. Setki mil można w ten sposób przebywać z łatwością, trzeba tylko dobrze orientować się, którądy jaki prąd płynie, gdyż prądy, jak wiadomo, krzyżują się w oceanie, niby linie tramwajowe w dużym mieście. Niedźwiedź, podróżujący z łapami razem złożonymi, z grzbietem w pałąk zgiętym, gdy łagodna woda jego długą sierść rozczesze i porozdziela na niezliczone, jakby wciąż powiewające pukle, podobny jest do rozczochranego kwiatu białej chryzantemy, oderwanej od łodygi i płynącej bezdrożami.

Ponieważ nie wiem, jak takie pływackie „clou” nazywa się w języku niedźwiedzim, nazywam je poetycznie : „robieniem chryzantemy”.

Wyplukawszy się dowolnie w zimnej jak lód wodzie, Baśka wynurzała się z nadbrzeżnej piany, nieskazitelnie biała i pończna, niby Venus tamtych krain. Siadała w kucki na śniegu, wpięrow przetarłszy i wymiętosiwszy go sempiterną, żeby się móc usadowić wygodnie. Przytem dymiała z mokrego futra w mroźne powietrze kłębamii pary, niby pęknięty piec kałlowy. Siedząc tak i parując, oddawała się marzeniom.

Marzyła, jak marzy dziecko ludzkie, zanim pierwszy raz potzuje, że czuje, i pomyśli, że myśli.

Czasami w jej marzeniach bezosobistych, powolnych, jak tętno natury podbiegunowej, powstawał obraz, którego nie rozumiała, wspaniały, jak rozblask zorzy borealnej.

Wzruszenia przedziwne podnosiły się z dna jej duszy, niby owe pęcherze powietrza, które z dna poruszonej wody rosna ku powierzchni sznurami jakoby szklanych paciorków, niżających się na niewidzialną nitkę. Czowała wówczas, że coś łechce ją w gardzieli, coś łąskoce w nozdrzach. Więc poczytała kichać po kilkadziesiąt razy raz po raz.

Baśka, jak się tylko wzruszyła, rozpoczynała zaraz kichać. Brano jej to za złe. Kichanie wydawało się gromadzie niedźwiedziej dziką nieobyczajnością, jak wogóle wszystko,

co nie było w zgodzie ze zwyczajami, uświęconymi wśród niedźwiedzi od dnia założenia północnego bieguna. Baśka od zwyczajów odbiegała, gdyż w przeciwieństwie do rówieśnic była skłonna do silnych wzruszeń bez powodu, a w następstwie tego — do kichania.

Wynikły stąd poważne zatargi z otoczeniem, a zwłaszcza ze starą niedźwiedzicą, która chcąc Baškę od nieobyczajnego zachowania oduczyć, nie szczędziła bolesnych razów łapą, uzbrojoną w pazury, zdolne jednym ciosem oskalpować lwa.

Rozterka rosła. Baśka czuła się coraz gorzej, coraz więcej obco wśród swoich. Poczęły w niej kielkować instynkty, odziedziczone po ojcu. Nie mogła się oprzeć dziedzicznej tęsknocie do czegoś, co nawet w języku ludzkim nazwane być nie może.

Na schyłku jednego z parugodzinnych dni podbiegunowych, gdy nad zatoką zachodziło słońce, Baśka stała na brzegu, ciałem podawszy się naprzód, z^o wyciągniętą szyją i podniesioną głową. Patrzyła na zachód, w krwawe i fiołkowe łuny. Lodowce, odgradzające zatokę od pełnego morza, kwitły kolorowym blaskiem, jakby pokryte wiszącymi grzędami hjacyntów. Woda wyglądała, jak jeden wielki ogon pawi, po którym niezliczone iskierki mrowiły się i podskakiwały, nakształt brylantowych pchelek.

Było tak pięknie i smętnie i wzruszająco, że Baśka zaczęła kichać jak z baterii.

Poczem rzuciła się wpław ku dalekim lodowcom. Płynęła do słońca. Nim zaszło była na pełnym morzu.

Natknęła się wkrótce na silny prąd. Zrobiła więc „chryzantemę” i ułożyła się do snu.

Zadna moc nie zdołałaby jej teraz zawrócić z drogi. Czowała bowiem do własnej matki taką niechęć, jak ongiś jej ojciec, stary morski włóczęga.

Zniknęły brzegi. Samotny, wspaniały ocean leżał dokoła, jak okiem rzucić, i kołysał welnę swoich fal. Gwiazdy odbijały się w ruchomej głębinie srebrnymi taśmami. Zapadła głucha noc.

III.

W przedwiośniu roku 1919-go Archangielsk nad Białym Morzem był okupowany przez Ententę, która, pod dowództwem Anglików i na ich wicke, zamierzała zdobyć Rosję od północy, i powywieszać na latarniach ówczesnych władców Kremlu.

W czasie zaś, kiedy zaszły wypadki, o których mowa ni-

żej. Archangielsk był mocno obsadzony załogami wojskowymi niemal całego świata. Oczywiście nie brakło i Polaków, bo gdzie tylko dwóci się bije, tam zawsze Polak trzeci chętnie łba nadstawi.

Na pryncypalnej ulicy miasta w godzinach południowych wznagał się ruch pieszy. Był to czas spotkań i spacerów. Po chodnikach skleconych z deszczulek, ruchomych jak klawiatura i nagle podbijających stopę przechodnia, niczym diabelska trampolina, przechadzali się zamorscy zdobywcy w towarzystwie dam - tubylek, które niewykwinną prostaczość swych stroików wyrównywały pokusą jedrnych kształtów oraz urodą lic, mieniących się na mrozie barwami krwi i mleka, zaś urodę samą podnosiła ta jeszcze okoliczność, że na stu młodych i jurnych wojowników wypadła w tym mieście jedna tylko, warta grzechu kobieta.

Szli tedy po zdradzieckich chodnikach szcudłonodzy, rybiowardzy i rudowłosi Brytańczycy z anglosaską flegmą, malującą się na twarzach ściągłych, rzemiennych, jak pasek do wecowania brzytwy. Ze swobodną dystynkcją przechadzali się Francuzi, we włożonych na bakier, z okrutną fantazją, aksamitnych beretach strzelców alpejskich; na widok co młodszej niewiasty instynktownie wstrząsali beretem, jak grzebieniem kogucim, stąpając z jakimś szczególnym wyostrzonym wdziękiem, niczym rasowe koguty, gdy zoczą niezupełnie starą kwokę. Amerykanie spacerowali bądź z fajką, bądź z kawałkiem czekolady w zębach; zajadali ją, idący, nie krępując się, z naturalną swobodą dzieci, wracających ze szkoły. Prócz nich byli tu i Serbowie, i Kanadyjczycy w uszastych czapach i mokasynach, oraz bersaglierzy włoscy, którzy z obliłości upierzenia na hełmach wyglądali, jakby na ich głowach rozczapierzona kokosz, nastroszywszy się, wysiadywała jaja.

W głębi jednego z zaułków, prowadzących do głównej ulicy, ukazało się kilku młodych wojskowych. Mieli na sobie zawadjacko załamane maciejówki z polskimi orzełkami, tudzież płaszcz koloru chakki, wdziane po leguńsku, z pewną artystyczną niedbałością, która zdradzała ciążenie ku elegancji w stylu wyraziście nadwiślańskim.

Jeden z młodzieńców, w szarży podchorążego, miał w prawicy kij żelazny, grubości palca, drugą zaś ręką trzymał, owinąwszy kilkakrotnie dokoła pięści, łańcuch zakończony stalową obrozą. W obroży targał się biały niedźwiadek, oglądający ponurym wejrzeniem, rzucanym z podelba, uliczkę, zakopaną w śniegach powyżej płotów. Słońce świeciło malej bestii prosto w pysk, więc poruszała wciąż czarnym nos-

kiem, oblizując się i od czasu do czasu kichając wielokrotnie a przenikliwie, niby zakatarzony kot.

Toczyła się rozmowa w tempie leniwym — typowe gładzenie rozpróżnionych żołnierzy, wałęsających się na słoneczku w bezpiecznym garnizonie, zdala od placu bitwy :

— On, czy ona ?

— Kto ? — zapytał podchorąży.

— No ten srogi zwierz...

— Ona.

— Skąd wiesz ?

— Powiedziała mi na ucho, jak byliśmy sami...

— Gadaj zdrów. Nie może być.

— Fakt.

— A co będziesz robił ?

— Wziąłem na utrzymanie. Spójrzcie, jaka przystojna !

Trochę z niej dzikus jeszcze, wczoraj ugryzła mię w łydkę, ale to się da odrobić. Z kobietą trzeba twardo. Nie słucha dobrego słowa, to posłucha kija. Na razie daję sobie z nią radę tym !

Tu dźwięknął żelazną maczugą o bruk. Niedźwiadek szarpnął łańcuchem i zjeżył grzbiet. Rozległ się groźny pomruk, potem krótki, a jężył ryk.

Kusz, ścierwo, bo wszystkie kości połamię ! — uspokajał podchorąży swą pupilkę, nie bez pewnej jednak serdecznie ciepłej nutki w głosie, pomimo groźnego sensu słów.

— A karmisz ją ?

— No, przecie...

— Czym ?

— Zjadła dziś pud świeżych flader, a prócz tego — parę butów, które grzały się przy piecu po wysmarowaniu tłuszczem.

— Apetycik, powinszować ! Bardzo, bardzo miły zwierz. Buzię ma wcale, inteligentną. I z oczu jej patrzy uczciwie. Niepotrzebnie nad nią się znęcasz. Jabym poradził dobrocią, łagodnością. Można pogłaskać ?

— Owszem. Spróbuj.

Amator łagodnych metod nachylił się nad niedźwiadkiem i wyciągnął rękę, by go pogłaskać po splaszczonym łbie. Zwierz lizał śnieg szkarłatnym jęzorem i na zniżającą rękę nie zwracał uwagi. Lecz, za ledwo go dotknięto do koniuszka włosów, wykonał ociężałą głową zdumiewający błyskawiczny ruch. Amator łagodnych metod mimowolnie wydał okrzyk i skoczył wstecz jak oparzony. Jednocześnie roz-

legło się głośnie kłapanie potężnie uzębionych szczęk, które, zamiast cofniętej szybko ręki, napotkały próżnię.

— A to dzikie bydle ! Ależ ona naprawdę kasa !

— Nie żartuje. Podziękuj, że prócz pary moich butów, nie zjadła ci kawałka ręki.

Zapalono papierosy. Zewsząd dolatywał melodyjny dźwięk — poddźwięk dzwonek od sanek, jeżdżących po mieście. Powierzchnia śniegu lśniła w słońcu, jakby posypana tłuczonym szkłem. W mroźnym powietrzu błąkały się wirujące iskierki lotnego szronu, niby ów brylantowy kurz, który zapala się i gaśnie w skośnym słupie blasku słońca, wpadającego do pokoju przez okno. Niedźwiadek coś mrucał i mamrotał gmerając w śniegu czarnym nosem.

— Dokąd z nią teraz pójdziesz ? — zapytał podchorążego kolega.

— Na promenadę — brzmiała odpowiedź.

— Zwarjowałeś ? !

— Nie. Tu chodzi o honor całej polskiej armii.

— Jakto ?

— Zaraz opowiem — odrzekł podchorąży. — Czy znacie kapitana bersaglierów, Włocha, tego, co chodzi, jada, kocha i sypia z monoklem w pysku ?

— To ten, z którym na ostatnim balu w misji francuskiej poróżniliście się o to rozłożyste ciało w sukni lila ?

— Mój kochany, proszę cię !... Dobieraj oględniejszych wyrażen, gdy mówisz ze mną o kobiecie, którą więcej, niż szanuję... Tak. Ten sam właśnie. Wyobraźcie tylko sobie, na jakie kawały puszcza się ten drab, byleby zdobyć tylko jej względy. I tak już dużo przewag ma nade mną : jest brunetem, ja blondynem, ona woli brunetów ; używa monokla, a to jej imponuje ; jest kapitanem, ja dopiero podchorążym ; nazwisko jego brzmi : Andreas Giovanni della Stupida hrabia Bambini, a ja nazywam się : Walenty Karaś. Nie dość tego : wieczorami całymi śpiewa jej po włosku, wywracając białka oczów, swoje canzony i barcarolle. A gdy ja, chcąc dotrzymać mu placu, raz huknąłem z całego gardła „Husia - Siusia”, ona uszy zatkała oburącz i rzekła :

— Proszę dać spokój. Pan miłszy jest bez śpiewu. Panu w dzieciństwie Mahomet musiał nastąpić na ucho.

Włoch zaś, ucieszony z mej porażki, zaraz zaśpiewał swym barytonem aksamitnym pieśń, zaczynając się od słów : „O, cara mia . . . !” Zostałem sromotnie pobity.

Codziennie spotykamy się obaj na spacerze przed domem naszej donny, która czeka, siedząc w oknie, i patrzy przez

dziurkę, wychuchaną w szronie, okrywającym szybę. Włoch dowiedział się, że ona lubi zwierzęta. Pewnego dnia przyszedł z oswojoną łasicą, siedzącą mu na ramieniu. Lecz nazajutrz ją triumfowałem, bom przywłókł ze sobą na sznurku żywego jeszcze gronostaja. Włoch jednak nie dał za wygraną i w dzień potem przelicytował mego gronostaja autentycznym żółtym lisem. Zawziętem się tedy i ja. Dostałem młodego wilka, który przy pierwszym spotkaniu zagryzł jego lisa. I w turnieju tym pewnie bym zwyciężył, gdyby z całego miasta nie zbiegły się wówczas wszystkie psy i nie rozszarpały mego wilczka przy ciepłych jeszcze zwłokach żółtego lisa. Włoch natomiast wytrząsnął skądś „błękitnego lisa” i od kilku dni paraduje z nim codzień na promenadzie, wywołując duży efekt w tłumie, oraz przychylnie uśmiechy w dziurce, wychuchanej w szronie na szybie.

Wpadłem w rozpacz i pewniebym rozpił się na śmierć, gdyby nie trafił szczęśliwy. Przedwczoraj na tutejszym targu spotkałem chłopca „samojeda”, który przyprowadził na sprzedaż tego oto niedźwiadka. Kupiłem bez namysłu i teraz zobaczymy, kto lepszy: ja, czy Włoch. Nie może być, żeby polski żołnierz skapitulował. Pęknie, szelma, z zazdrości. Dziś pograżę go nareszcie w oczach naszej donny i zdobędę jej serce. Zguba nad Włochem wisi, chyba by tym razem przetaszczył ze sobą żywego krokodyla! . . .

— Zwycięzisz. Idź. Masz rację. Tu chodzi o honor całej armii! — krzyknęli chórem słuchacze.

Jednocześnie z ulicy principalnej wypadł do zaułka żołnierz, ordynans Karasia, i zawołał:

— Panie podchorąży, włoski kapitan już jest!

— Z lisem?

— A jakże, z lisem — odpowiedział ordynans.

I poszedł, wlokąc na łańcuchu swą dziką wychowanicę. A że mu zrazu krnąbrnie się opierała, wbijając w śnieg wszystkie cztery łapy, przeto z miejsca użył żelaznego drąga. Poczem już szli w najlepszej komitywie i Baśka — była to bowiem ona — biegła ciężkim truchtem, ocierając się pieszczotliwie o kolana podchorążego.

Samem już zjawieniem się swem wśród spacerującego tłumy wywołali żywe zainteresowanie, coś nawet, jakby w rodzaju wstrzemięźliwego entuzjazmu. Wnet zaszczękały tu i owdzie kieszonkowe kodaki Anglików. Pewien odważny major amerykański żartem ofiarował Baśce tabliczkę czekolady, którą pożarła bez namysłu, wraz z papierowym opakowaniem, tudzież z futrzaną rękawicą majora — dłoń ja-

kimś cudem udało mu się z niedźwiedziej paszczęki i z polykanej rękawicy unieść cało.

Przechodnie za zbliżeniem podchorążego wszędzie się rozstępowali, czyniąc szpaler, jakby przed parą nowożeńców, wracających od ołtarza. Baśka, czując, że cały ten honor jej przynależny, zrozumiała, iż jest bohaterką dnia. Wzbiła się więc w pychę i poczęła iść na trzech tylko łapach, czwartą zrzadka dotykając ziemi, a z boku paszczy wysunęła na kilka cali jęzor, co miało taki pozór, jakby niosła go w zębach. Wszystko to u niedźwiedzi polarnych jest przejawem nader wyszukanych manier. „Pomyślcie tylko nad tem dobrze, a zobaczycie, że jest tak, a nie inaczej” (jak zwykł mawiać mój stary kolega po piórze, niejaki sir Rudyard Kipling).

Wśród ludzkiej ciżby, tłoczącej się po bokach i z tyłu, doszli tak aż do domu, gdzie mieszkała sprawczyni polsko-włoskich wdychań i utęsknień. Włoch tkwił już na stanowisku. Dama dwojga rozmiłowanych serc główkę-blond miała wysuniętą przez otwarty luźnik i, strzygąc długimi rzęsami, słuchała co jej prawil kochliwy kapitan bersaglierów, który przestępował z nogi na nogę, jak człowiek niezbyt wytrzymały, albo mocno zziębnięty. Stąd można było wnioskować, że tokuje tu od paru już kwadransów. Na smyczy, założonej haftką na guzik paltota, trzymał dużego lisa, — bardzo piękny okaz fauny północnej, — napuszonego przeszlicznem futrem barwy szarej, wpadającej w odcień jakoby polerowanej stali, czemu właśnie gatunek owych lisów zadwzięcza nazwę „błękitnych”.

Lis siedział u stóp swego pana, wsparty na wyprostowanych łapach przednich. Uszy czujnie trzymał do góry, a w spiczastej, wąsatej mordce miał wyraz takiej roztropności, że, zdawało się, zacznie naraz mówić po ludzku i to całkiem do rzeczy. Puszystą kity odwalił poza siebie i pieczołowicie ją rozłożył na całą szerokość chodniczka.

Na widok Baśki zerknął w jej stronę raz i drugi i poczuł niepokój, co wyraziło się nazewnątrz przez natychmiastowe cofnięcie kity z poza pleców i ułożenie jej przed sobą.

Włoch tokował w dalszym ciągu, przestępując z nogi na nogę.

Podchorąży był już o kilkanaście kroków.

Włoch poza otwartym luźnikiem nie widział świata. Błękitny lis zmienił miejsce i usadowił się tak, by między Baśką a sobą mieć na wszelki wypadek foremne łydki swego pana. Koniec puszystej kity poruszał się cokolwiek nerwowo.

Podchorąży znalazł się przed oknem i złożył grzeczny

ukłon damie. Dama, ujrzawszy zwierza, holowanego na łańcuchu, krzyknęła: „Ach!” i wygniotła łokciem szybę. Dzwoniące drzazgi szkła spadły kapitanowi na zadarty łeb; stamtąd stoczyły się na ziemię wraz z monoklem, o który zawadziły.

Baśka zbliżyła się do lisa w zamiarze obwąchiwania jego kity, intrygującej puszystym wyglądem.

Włoch schylił się, by podnieść monokl, bez którego nic nie mógł przedsięwziąć, gdyż był krótkowidzem.

Obwąchiwany przez białego potwora lis wpadł w szaf przerażenia i urwał się wraz ze smyczą i guzikiem, do którego smycza była przytwierdzona. Gwałtowne szarpnięcie, spowodowane oderwaniem mocno przyszytego guzika, wytrąciło schyłego kapitana z równowagi, aż się musiał oprzeć rękami o ziemię i znalazł się przez chwilę w pozycji na czworakach.

Baśka, rozzłoszczona ucieczką lisa, poczytała osobę, znajdującą się na czworakach i wypiętą ku niej gestem wysocę prowokacyjnym, za jakowegoś czworonoga, który jej, Baśce, chce ubliżyć. Zahaczyła więc kłami za fałdy kapitańskich hajdawerów i jąła ciągnąć ku sobie z sałej siły.

Przestraszony Włoch swym pięknym barytonem, który stracił na ten czas całą aksamitność brzmienia, wydobyl z siebie bardzo wysokie „fa”.

Baśka zawtórowała mu ogromnie potężnym „re”, nie wypuszczając jednak spodni z paszczy.

Podchorąży wprawił w ruch żelazny drag, aż warkotało w powietrzu.

Dama w oknie darła się w niebogłosey.

Na miejsce wypadku zbiegło się pół ulicy. Angielskie kodaki zaszczękały częstotliwie, niby zamki karabinów plutonu, gotującego się do salwy.

W trakcie zajścia z handlu ryb, znajdującego się obok, wyskoczył nagle błękitny lis, wciąż szalejący z trwogi, i, pędząc, obalił z nóg kilku gapiów. Lecz, co najdziwniejsza, pozbył się już smyczy, a wpoprzek łajdackiego pyska trzymał tłustą flądę. Nim się tłum obejrzał, — lis był już daleko: czmychał środkiem ulicy, rozpuściwszy na wiatr wspaniałą kite. I znikł na pierwszym zakręcie, jakby się w ziemię zapadł. Co się z nim stało, nikt tego nie wiedział, ni wtenczas, ni potem.

Włoch po dłuższej targaninie wyrwał się z niedźwiedziej paszczeki, lecz kosztem dużego kawałka spodni, który Baśka zatrzymała w zębach jako trofeum. Poszkodowany wrzucił do oka monokl, zmierzył rywala zabójczym spojrzeniem,

rozpiął płaszcz, wyjął portfel, dostał bilet wizytowy i wręczył podchorążemu. Karaś schował bilet do kieszeni palta i rzekł:

— Znamy się, kapitanie, oddawna. Ale bardzo mi przyjemnie. Żegnaj pana.

I odszedł wraz z Baśką, która nie wypuszczała z zębów urwanej szmaty sukna.

Atoli los miał w zanadru jeszcze jedną awanturę.

Dnia tego zażywał również przechadzki angielski generał, naczelny dowódca wszystkich wojsk koalicji na Murmanie, który chodził zawsze w towarzystwie buldoga. Generał podążał właśnie w stronę zbiegowiska, wywołanego zajęciem Baśki z Włochem. Buldog szedł o kilka kroków przed panem. Był to pies stary, spasy, mrukliwy i warkliwy, ślepy na jedno oko, z wieczną nitką plugawej śliny, zwieszającej się z brodawkowatych psich warg, niedomkniętych nad spróchniałymi szczękami. Słyszał z tego, że na ulicy ustępował z drogi tylko cywilom, wojskowemu nie ustąpił nigdy. Bo wiedział, że jest psem generalskim i każdy spotkany człowiek w uniformie wojskowym musi przed nim i przed jego panem salutować pierwszy i usunąć się z drogi.

Milord — takie miał imię ów pies — nie popolitował się zawieraniem ulicznych znajomości z innymi psami. Długi i rozpustny żywot wyszlamował go ze swawolnych żądz. Nawet w lipcu, który jest miodowym miesiącem psów, nie doznawał on zbytich upałów krwi. Obecnie zaś był dopiero początek lutego.

Jednakowoż, na widok nieskalanie śnieżnej Baśki, poczuł, że psi animusz pęcznieje mu we wszystkich członkach. Lube ciągoty zaczęły biegać niby mrówki, po kościach, wyschniętych ze szpiku. Krótko mówiąc, zachciało się Milordowi psich figłów.

Poskoczył więc ku zdumionej taką bezczelnością Baśce i jął poczynać sobie obcesowo, jak gdyby tu, w zimie, pod biegunem północnym, zapanował nagle najgorętszy lipiec.

Baśka aż zawyla ze zgrozy na te zaloty bezzębnego uwoźdźciela, który nadto zabierał się do rzeczy z niedołęstwem, godnem zgrzybiałego starca. I w obronie swej cnoty polarnej zadała łapą ciężki cios na odlew.

Milord wyleciał w górę, jak z procy, skreślił się w powietrzu, padł skrwawionym łbem na bruk, aż coś mu trzasło w apoplektycznym karku i wybulgotał z siebie sprośną duszę, zanim nadbiegł jego pan.

Nazajutrz podchorąży Karaś miał z Dowódcą Polskiego

Baonu rozmowę poufną, o której później opowiadał kolegom, odwiedzającym go w areszcie :

— Mieliśmy z naszym majorem bardzo głośne gadanie w cztery oczy, a właściwie to tylko w trzy oczy, bo jedno było wybite . . .

Milord, po zbalsamowaniu, został odesłany przez nieutulonego w żalu generała osobnym torpedowcem do Anglii. Podchorąży, bez balsamowania, poszedł do kozy na dni dziesięć.

Baškę z rozkazem dziennym L. 33 S 8 przydzielono do Baonu W. P. na Murmanie z nominacją na „Córkę Regimentu” i z zaliczeniem na wikt w kompanii karabinów masyńskich.

IV

Teraz dopiero żywot Baški wszedł w najświetniejszy swój okres. Urodzona pod ciemną Gwiazdą Polarną, rozpoczęła karierę pod znakiem Marsa.

Na niedźwiedznika przeznaczono jej kaprała nazwiskiem Smorgoński. Kapral trudnił się przed wojną rzemiosłem szewieckim i Baška była pierwszym żywym niedźwiedziem, jakiego w życiu na oczy uświadczył. Wybór zaś na niego mianowicie padł stąd, iż adiutant, komponujący rozkazy dla Baonu, zwykł był jako doktor filozofii, myśleć syntetycznie. W danym wypadku powodował się brzmieniem nazwiska Smorgońskiego, sądząc słusznie, że trudno dla niedźwiedznika o nazwisko lepsze.

Kapral Smorgoński musztrował dotąd rekrutów, pobranych do wojska z pośród Polaków, których wojna rozprzyszyła po obszarach niezmiętej Rosji, albo takich, którzy mieszkali tam od urodzenia. Był to gatunek rodaków dziwnego nabożeństwa, dopiero przymus wojskowy spolszczył ich na nowo i urabiał na patriotów. Pomiedzy sobą mówili po moskiewsku chętniej, niż po polsku. Bardzo często tylko jedno wyznanie wiary katolickiej było ostatnim ogniwem, łączącym ich z polskością. Z tego powodu przewano ich ogólnie „katolikami”. Smrogoński, urodzony na Mińszczyźnie, sam, wprawdzie, z nich pochodził, ale wyrobił się był już na tegiego żołnierza. Musztrując powierzonych mu rekrutów, kłął siarczyście w narzeczcu ziemi Mińskiej, często gęsto sięgał do kwiecistego i niewyczerpanego słownictwa podoficerów b. armii carskiej.

Pewnego dnia został zawezwany przed gołowasę obli-

cze adiutanta, który-to oficer zwykł był myśleć syntetycznie. Adiutant, wskazując na Baškę, rzekł:

— Kapral. Od jutra będziesz musztrował ją tylko jedną. Za dwa tygodnie ma umieć wszystko, co się przyzwoitemu niedźwiedziowi w wojsku polskim „giberuje”. Możesz odejść. „Skończyłem”.

— Rrrozkaz ! — odrzekł kapral z determinacją, biorąc do ręki łańcuch, na którym Baška była uwiązana.

— A dasz-że jej rady sam jeden ? — zapytał jeszcze adiutant.

— A toż jak, panie podporuczniku ! — brzmiała odpowiedź. — Mnie tam co ! Taż ja całemu plutonowi najdurniejszych katolików rady dawał, tak jakby ja nie dał rady jednemu niedźwiedziowi ? Niedźwiedź — nie katolik. Z nim dzitło ze wszystkim drugie. Bo rekruta — nie śmieć palcem trącić, a niedźwiedzia — możesz bić, ile dusza zakce. A jak niedźwiedzia dużo bić, tak on koniec końców może się nauczyć i siarniki zapalać. On — zwierz tylnym rozumem mocny. Wiadomo ! . . .

Ciężkie dni rozpoczęły się dla Baški.

Jej mentor okazał się w nauczaniu gorliwszym jeszcze, niż swego czasu była niedźwiedzica-matka. Baška nie wniknęła zrazu w intencje swego profesora i w osiągnięciu nowych doskonałości była za mało ambitna. Ale zato Smorgoński miał ambicji za dwoje. Postanowił, że jego uczenica musi umieć maszerować na dwóch łapach, krokiem strzeleckim, w takt muzyki, przygrywającej do marsza ceremonialnego. I postawił wkońcu na swoim.

Nie będziemy tu opisywali, jakich środków się chwycił, aby celu dopiąć. Każdy cel militarny uświęca wszelkie środki.

Kapral ćwiczył niedźwiedzicę ogniem i żelazem, niejednokij tegi połamał na niej w drzazgi, a gdy, w imię obrażonej godności osobistej, zbyt głośno protestowała, przemawiał do niej czule :

— Stul pysk, durna ! Toż dla twego dobra tataruję ci boki. Nigdy żaden niedźwiedź nie był taki uczony, jaka ty będziesz . . .

Zresztą pokochał ją serdecznie i zwierzał się przed nią, prowadząc z nią wieczorami długie rozmowy. Sypiali na wspólnym pościeliu, zrzadka się tylko wadzając, niby najprzystojniejsze małżeństwo.

On też pierwszy nazwał ją — Bašką. Było w niej bowiem coś wielce kobiecego, a zarazem miała w sobie wiele

z milej dzikości, takiej właśnie, jaką jest niejedna z polskich Basiak. Żołnierz na odludziu bywa skłonny do idylli i sentyment swój lokuje, gdziekolwiek uda się mu sercem zaczepić . . .

Nazwa, dana niedźwiedzicy przez Smorgońskiego, wkrótce przyjęła się w użyciu wśród żołnierzy całego Baonu, lecz jakiś śledziennik, jeden z tych wiecznie ze wszystkiego niezadowolonych, doszukujących się plam na każdym słońcu, podał w wątpliwość nietylko paniństwo Baški, ale i jej płeć samą.

Niedźwiedzica była za wielką figurą w Baonie, aby wątpliwość owego śledziennika nie urosła wnet do rozmiarów zagadnienia, które zaprzatnęło całkowicie wszystkie głowy. Baon podzielił się na dwie partie za i przeciw. Wrzenie umysłów stało się powszechnem. Sprawę roztrząsali z piętą na ustach nawet oficerowie. Doszło do wymyślań i bójek. Coraz inni znawcy oglądali Baškę, lecz opinie wydawano najsprzeczniejsze. Prawda, jak to bywa zwykle w takich razach, utonęła we wzburzonych falach roznamietnienia, stronnictwo i różnych intryg. A rzecz miała się tem gorzej, iż nie była wolna od domieszki pewnej niezdrowej sensacji, właściwej delikatnym sprawom tego rodzaju.

Aż adiutant, myślący syntetycznie, poszedł po rozum do głowy i w rozkazie dziennym wystylizował paragraf tej treści:

§ 69.

„Wobec bezpodstawnej wersyj, obiegających Baon, jakoby przydzielona do tegoż niedźwiedzica Baška należeć miała do obu płci naraz, — poleca się lekarzowi Baonu rzecz ściśle zbadać na miejscu, płeć niedźwiedzicy ustalić raz na zawsze a o wykonaniu donieść raportem na piśmie, który Kancelaria dołączy do listy ewidencyjnej rzeczony niedźwiedzicy, ażeby mieć pewną rękojmię niepowtórzenia się w przyszłości podobnych awantur.”

Dzień ekspertyzy lekarskiej był wielkim dniem Baonu. Od samego rana czyniono grube zakłady pieniężne, które miały zależeć od wyników ekspertyzy. Dawało się wyczuć ogólne podniecenie, jak przy totalizatorze. Podczas oględzin lekarskich, dokonywanych wobec całego Baonu, oczy wszystkich żołnierzy zawisły na ustach lekarza, kie-

dy miał zawyrokować, do jakiej ostatecznie płci niedźwiedzica należy.

Zapanowała martwa cisza, w której rozlegało się jedynie głośnie bicie trzystu serc, oczekujących wyroku.

Wreszcie lekarz, młody, przystojny i zdolny ginekolog z Warszawy, obwieścił uroczyście wszem wobec:

— Baška jest panną!

A wtedy uczynił się istny dzień sądny.

Stronnictwo, które trzymało się opinii, zgodnej z orzeczeniem lekarza, wyraziło swą radość trzykrotnem, gromkiem: „Hurra!” Podrzucano w górę czapki, wiwatując na całe gardło. Mający rewolwery otworzyli na znak uciechy rzesistą palbę. Uczynił się taki tumult, że angielskie dowództwo zaalarmowało cały odcinek frontu, myśląc, że to nieprzyjacieli wdarł się na tyły.

Zaczęto cisnąć się kupą do Baški. Składano jej w darze, co kto miał do zjedzenia. A kto zdążył już podpisać, lał całować się do niej, roniąc łzy rzewne na jej śnieżne futro.

Jedna tylko Baška zachowywała spokój, chociaż ogólne wzruszenie i ją ścisnęło za gardziel i łaskotało w nozdrza, zmuszając do kichania raz za razem.

— Baška! dalibóg, porządna z ciebie kobita! — wołały entuzjaści.

A ona patrzyła im prosto w oczy, czując, że stanowi z nimi jedną rodzinę, że przestaje być niedźwiedzicą polarną, lecz już jest jednej rasy, jednego narodu z tymi żołnierzami, którzy ją kochają i są z niej dumni, a dla których staje się oto żywym sztandarem, związanym z dziejami ich tułaczki po ziemiach dalekich, z ich bohaterstwem i nieuwiedłą chwałą.

I czarne jej oczki, w których świat odzwiercadlał się, niby w wodzie żyjącej, zdawały się mówić:

— Setne z was chłopcy! Z wami żyć i umierać! . . .

V.

Parowiec płynął do Gdańska. Zimowe nadmorskie słońce jaśniało na wysokościach bladobłękitnego nieba. Nikły warkocz dymu snuł się z komina, niby z olbrzymiego cygara, wetkniętego pionowo w pokład okrętu. Za sterem ciągnęła się po wodzie śnieżno-zielona, wrząca brzoza, rzekłbyś: wiorstowy niewód, napełniony po brzęgi kotłującymi się rybami. Morze, drgające krótką, płaską falą, zdawało się kołysać nieustannie tysiącami luster, które odbijały tyle mokre-

go słońca, że blask ten zaciął po oczach wprost boleśnie, jakoby biczem, ukreconym z promieni.

Metalowe okucia na pokładzie jarzyły się chwilami, jak bengalskie ognie. Na dziobie okrętu kupiła się gromada żołnierzy z odsłoniętymi głowami. Mewy z radosnym piskiem śmigły tuż nad nimi, zdając się dotykać w locie skrzydłem ich włosów.

W gromadce było gwarno, jak na bolszewickim wiecu. Rozlegał się śmiech, podobny do końskiego rżenia. Brzmiały okrzyki:

— Śpiewać „Lamenty”! Chcemy „Lamentów”!

— Nie, nie! Lepiej „Białej róży kwiat!” — ozwał się jakiś melancholijny głos.

— Stul paszczę, kiedy cię nikt nie pyta! — wrzasnął w ciżbie inny głos. — Lamenty! Zaczynać!

Zaczem zaśpiewano chórem na nutę okrutnie dziadowską. Była to pieśń ulubiona przez Murmańczyków: „Lamenty podbiegunowe”, którą ułożył swego czasu major Bogusław Szul.

Straśneż to dziwy, Boże apostolski!
Wybrał się legun na obronę Polski,
Chciał bronić kraju nieszczęśliwy legun
Obronił biegun.

Zwiedziłeś bracie świata kawał srogi,
W różnych-eh krajach poobijał nogi,
Ażeś tu przyszedł stare mrozić gnaty
W kraj lodowaty.

Ale cię strasna czekała udreka,
Bo tam się bidny człowiek ciągiem lęka,
Żeby mu koło nie spadło na głowę
Podbiegunowe.

Tam miast na koniach naród na psach jedzie,
Tam krowim mlekiem dojom się niedźwiedzie,
Tam wieloryby rosnom co dwa kroki
I jensze foki.

Noc, całom zime, że nie ujrzysz słońca
Bo nie chce wschodzić, w lecie znów bez końca
Wciąż jeździ z jednej w drugom nieba strone,
Jak pomyłone.

Więc bolszewickie przechytrzaj wybiegi,
Pod Obozierskiem, lub w błotach Onegi
Marznij nad Dźwinom, lub moknij do woli
Na moście w Koli.

A, gdy już z frontu powrócisz nareście,
Nie myśl, że spocziesz w jakim ludzkim mieście
Bo cię wpakujom — o Matko anielska —
Do Archangielska.

Zamiast jedzenia dajom tam przez przerwy,
Przeróżne mały i inne konserwy,
Że niezadługo staniesz się na czysto
Konserwatystą.

A zamiast chleba suchary — galety,
Co dentystyczne siedzom w nich zalety,
Bo nieostroźnie włóż biestie do gęby
Wylecom zęby.

Waruj więc bracie i nie miej pretensji,
Jak bez pół roku nie dostaniesz pensji,
Choć przyjdzie wreście, świecąc cielskiem gołem,
Siąść pod kościołem.

Śpiewom przysłuchiwała się Baśka, siedząca opodal na zwoju lin okrętowych. W momentach liryczniejszych łączyła swój srogi ryk ze śpiewem żołnierzy, co razem brzmiało bardzo efektownie.

Kapral Smorgoński siedział wtulony plecami w jej bok futrzany, niby w poręcz wygodnej kanapy. Oboje czuli się nad wyraz dobrze.

Oddział Murmański wracał do kraju. Miał za sobą półtora roku walk po błotach i borach Rosji Północnej. Był to bez wyjątku żołnierz otrzaskany ze śmiercią, dzielny do wybitki, jeszcze lepszy do wypitki, dobry do tańca, gorszy do różańca. Okryli się chwałą nieśmiertelną w oczach wojsk ekspedycyjnych całej Europy, rozkazy angielskiego dowództwa nazywały ich „Lwami Północy”. Miało się, przypięty do piersi, niejeden krzyż i medal francuski i angielski. Wiozło się też coś niecoś zegarków i klejnotów zdobywanych, tudzież nieco tego marnego grosiwa, które się zdobyło w krwawym pocie, uczciwie, na nieprzyjaciółkach rodzaju ludzkiego i Ojczyzny. Albowiem Bóg błogosławi zawsze męstwu Polaków.

Jechali z Murmanu do Polski przez Anglię, gdzie podejmowano ich z królewskim przepychem, jako bohaterów, „którymi sama starożytność pochlubiłaby się mogła”. Baśka towarzyszyła Oddziałowi wszędzie, niby żywy sztandar. Była dumna ze swych Polaków, lecz sama przynosiła im niemal chlube. Dziwił się świat, patrząc na dziką bestję egzotyczną, obłąskawioną, jak domowy pies.

— Wieźliśmy z sobą i tresowanego wieloryba, ale nam w drodze zdechł, gdyż zjadł przez pomyłkę pewną starszą miss, która miała fałszywe zęby, włosy i biust! — łgali z humorem żołnierze polscy angielskim marynarzom z załogi statku.

Marynarze tyle już nasłuchali się o tej garstce Polaków, że bajda o wielorybie nie dziwiła ich bynajmniej; brali żart za dobrą monetę, myśląc, iż te półdiabła murmańskie potrafiłyby, gdyby zechciały, okiełznać i legendarnego węża morskiego, byleby tylko dał się im złapać.

Kapitan statku obwieścił, że za godzinę ukaże się na horyzoncie polski łódź. Na tę wieść wyległo tłumnie na pokład bractwo z dusznych kajut, gdzie w dymie tytoniowym i w oparach alkoholu różnęło się w karciecia od dwóch dni i nocy bez przerwy, zapomniawszy o wojnie i o bożym świecie.

Smorgoński, który jeszcze nigdy nie był w Polsce, lecz twierdził, że „też wraca do kraju”, rzecze do swej kudłatej przyjaciółki:

— A widzisz, Baśka, a widzisz! A co, nie mówiłem! Wracamy do Polski. Ciesz-że się, durna! A wiesz ty, przynajmniej, co to jest Polska? Polska to taki kraj, gdzie nie ma katolików, a wszystkie Polaki są korzenne. A po miastach na ulicy wszystkim naród gada tylko po jęwejsku i po polsku. Nasz rodzony kraj, Baśka, bardzo piękny kraj

I w rozrzewnieniu ucałował ją w sam czarny nos, a ona mu twarz całą oblizwała gorącym językiem.

W Gdańsku wylądowano bez szczególnych przygód, jeśli nie liczyć małego zajścia, wieczorem, w portowym szyneczku, które zostało wywołane. Zajście to jednak wnet zlikwidowali sami Murmańczycy, jęwszy się środków, o których znana piosnka lwowska śpiewa:

„Nic nikomu nie mówili
„tylko w mordę bili,
„światła pogasili,
ta już, ta już!”

Baśka walenie spisała się w tej potrzebie, stając ramię w ramię z towarzyszkami broni, i ona w znacznej mierze przyczyniła się do przechylenia szali zwycięstwa na stronę polską. Przechodzi ludzkie pojęcie, jak ten inteligentny zwierzę odrazu, od pierwszego wejrzenia, znenawidził wrogów.

Nad ranem Oddział z bagażami i Baśką odjechał na wypoczynek do Modlina.

— Śmierdzi nam ten polski Gdańsk! — zwierzali się

sobie Murmańczycy z gdańskich wrażeń. — Niech jasny piorun trzaśnie w taki dostęp do morza i z powrotem. I warto było krew za to lać na Murmanie!

— Tyś zwłaszcza dużo jej przelał! — odezwał się głos przekąśliwie wąpiący.

— Głupiś. To jest zwrot retoryczny. Mam na sumieniu bądź co bądź dwóch bolszewików.

Po paru tygodniach pobytu w Modlinie, Oddział wraz z nieodłączną Baśką wybrał się do Warszawy, aby się sprezentować przed Naczelnikiem Państwa.

Był to pamiętny dla stolicy dzień. Tłumy wyległy przed Dworzec Wiedeński, by powitać żołnierzy, poprzedzanych wojenną Legendą, jakiej od czasów San - Dominga nie znały polskie dzieje.

Z muzyką na czele, wybijając potężnie trzema stami nóg takt po bruku, niby cepami po klepisku, szedł Baon Murmański ku Placowi Saskiemu. Dzień był pochmurny, grudniowy, lecz żołnierzom twarze jaśniały, niby od słońca: czuli, że są sławni i waleczni, że imponują wszystkim naokół. Rozpierała ich próżność, właściwa żołnierzowi, maszerującemu z orkiestrą wobec tłumu cywilnego i młodych kobiet.

Baśka w poczuciu wagi chwili kroczyła obok Smorgońskiego, nie rozglądając się i niczemu nie dziwiąc, była już bowiem bardzo dobrze wychowaną osobą.

Obok maszerujących szeregów, chodnikami i ulicą rwał potok ludzki. Przewracał się, zawadzając o małe dzieci i psy, rozbijał kolana i łby o słupy latarni, wpadał z rozdziawioną gębą pod tramwaje i samochody, zrywał się z ziemi i biegł dalej na złamanie karku, byleby nie stracić z oczu białej niedźwiedzicy. W mig dowiedziano się o jej imieniu i szmer: „Baśka, Baśka!” elektryzującymi kręgami rozchodził się w tłumie. A ona, słysząc swe imię, tysiącogębną famą wokół powtarzane, zhardziła jeszcze bardziej i szła już, nie wiedząc dobrze, czy to ją prowadzą za Oddziałem na łańcuchu, czy może ona raczej tych trzystu ludzi przed sobą popędza.

Tak doszli na Plac Saski. Olbrzymi Sobór o cebulastych kopułach wywarł na Baśkę głębokie wrażenie. Nie mogła sobie tylko przypomnieć na razie, gdzie mianowicie coś podobnego już widziała. Aż wspomniła się jej architektura lodowych gór, pływających po Oceanie Lodowatym. Jedno do drugiego było podobne wprost uderzająco.

Po krótkiej mszy polowej, oraz po długich przemówieniach generałów i biskupów, których Baśka wysłuchiwała z po-

blażaniem, nadeszła chwila defilady przed Naczelnikiem Państwa. Naczelnik bardzo się spodobał Baśce. Nigdy go przedtem nie widziała, jednak odrazu, z pierwszego rzutu oka, doszła do przekonania, że ten wysoki człowiek, jest na tym placu figurą naczelną, naczelniejszą od Smorgońskiego, który ją, Baškę, trzyma na łańcuchu i uczy rozumu ogniem i żelazem : naczelniejszą od Dowódcy Oddziału, którego się Smorgoński boi, jak Baška ognia, ba ! naczelniejszą nawet od niej samej, od Baški, na którą wszystkie zwracają się oczy ! Gdy Naczelnik, chcąc ją pogłaskać, wyciągnął rękę, bez namysłu podała mu łapę, wykonawszy przytem coś jakby dyg ceremonialny, jakiegoby się nie powstydziała — najwytworniejsza dama dworu. Rozeszli się, bardzo z siebie nawzajem zadowoleni.

Podczas defilady Baška wywołała w tłumie widzów prawdziwy entuzjazm : piękny to był widok, gdy szła na tylnych łapach, dorównując wzrostem Smorgońskiemu, krok w krok z nim i resztą Oddziału, zaś w momencie, przepisany ustawą, zwróciła łeb do Naczelnika, salutując go dziarsko, jak szeregowy żołnierz w marszu.

Wywaliła przytem na śnieżną biel futra ćwierćokciowy jeżor o barwie świetnej amarantu.

Chciała bowiem w ten sposób zapomocą doboru żywych kolorów zmanifestować wobec Naczelnika i asystujących mu misyj zagranicznych, że przynależy do Narodu Polskiego i do jej Historii.

Istna burza oklasków była nagrodą Baški za polityczne credo, wyrażone tak śmiało, pięknie i z takim taktem.

VI.

Od defilady na Placu Saskim upłynęły dwamiesiące. Baška spędziła ten czas w Modlinie. Na nic uskarżać się nie mogła, chyba na krajowy wikt jedynie, który marniał z dnia na dzień. Lecz, co dziwna, źle na nią to nie wpływało, utyla nawet nieco. Cóż ją obchodził taki lub owaki „deputat” żywnościowy, skoro pasła się własną sławą. Nie jednemi flądrami niedźwiedź polarny żyje. A ona czuła doskonale, że jest wojskową znakomitością. Ci, którzy z tych czasów ją pamiętają, wspomną zapewne, że w jej stosunkach z ludźmi, nawet nieznanymi, przebijała się pewna łaskawość, rodzaj wielkopańskiej pobłażliwości, jaka była właściwa tylko wielkim generałom, poetom i innym sławnym ludziom, kiedy się nagle, wbrew własnemu spodziewaniu, wybija na zawrotne

szczyty sławy i popularności. Jednem słowem: spoczęła na laurach i — to ją zgubiło.

A stało się to tak.

Codziennie prowadzono Baškę do płynącej niedaleko Wisły, aby się mogła w zimnej wodzie narozkoszować dowoli. Rzeka, pomimo zimy, nie była pokryta lodem ; po długiej odwilży mrozy nie wracały, chociaż śnieg popadywał codzień obfity. Na bystrej wodzie płynęła tylko kra wielkimi taflami. Koryto rzeki szeroką czarną wstęgą wiło się przez pola cudownie białe. Na przeciwnym brzegu, wznoszącym się stromo, rozsiadła się wieś, która z ośnieżonych strzech wzdychała w niebo błękitnymi bukietami dymów.

Podczas jednej z takich wycieczek, w której, prócz Baški i Smorgońskiego, wzięło jeszcze udział kilku żołnierzy, zachodziło właśnie słońce, sadowiąc się hen za rzeką, na pokryte śniegiem pola, tam, gdzie daleki las siną taśmą wił się wzdłuż widnokregu.

Leżąca u stóp Wisła w purpurze i fioletach, urwisty brzeg i śnieżne pola, okryte jakby ruchliwemi grzędami różowych i fiołkowych kwiatów, sina smuga dalekiego lasu — wydały się nagle Baśce czemś ogromnie znanem, drogiem, utęsknionem : rzeka — zatoką morską, gdzie się niegdyś pływać nauczyła, urwisty brzeg i pola w barwnym świetle — murem lodozwałów, siny las — oceanem, daleko, daleko szumiącym...

Wołanie wiecznej natury, jednakiej w swej potędze od bieguna do bieguna ziemi, wzywało swe dziecię, zabłąkane wśród ludzi, do powrotu.

I Baška, podobnie jak wówczas, dwa lata temu, poczuła znów wielką tęsknotę, szaloną chęć do pójścia i popłynięcia naprzód, gdzie oczy poniosą, w szeroki świat, morskiem bezdrożem.

Urwała się z łańcucha, wpadła do wiślanej wody, jak burza, i rycząc radośnie, popłynęła skroś gęstą krę ku przeciwnemu brzegowi.

Żołnierze, lękając się o jej los, kopnęli się na poszukiwanie łodzi.

Tymczasem Baška wydostała się była już na tamten brzeg i pobiegła zrazu w stronę dalekich lasów — ku urojonemu oceanowi, lecz po chwili zmieniła kierunek i zaczęła iść ku chałupom wsi nadwiślańskiej. Porywecza tęsknota opuściła ją nagle, jak nagle przyszła. Cywilizacja wzięła górę nad popędami pierwotnymi. I Baška znów zapragnęła towarzystwa ludzi, znów się jej zachciało być przez nich ogladaną, podziwianą, poklepywaną po kudłach. Tak - to

czasami i w zwierzęciu, pozbawionem duszy rozumnej, siedzi istic ludzka żądza „zadziwienia, nie zbawienia świata”.

Obok skraju wsi, na polu, dostrzegła Baśka poruszające się na śniegu czarne postacie. Poszła wprost ku nim.

A był to ojciec Wawrzon, gospodarz stateczny, z synami. Rozrzucił przy ich pomocy gnoj na swym zagonie.

Dojrzał niebawem idącą ku chałupom niedźwiedzicę. Przyniósł dłonią oczy i miarkował, co za dziw tak wprost na niego naprzetaj polem idzie. Zmiarkował wreszcie, że musi to być Baśka, wiedział o niej ze słyszenia.

— A spojrzjta-no chłopcy, — rzekł do synów. — Galanty zwirz do nas wali. Pedają ludzie, że naskie legiony przywiezły ją z tego ich tam jakiegoś Murmanu, co to gdzieś wedle samej Ameryki leży, albo i dalej. Długo wieźli, morzami i suszą, bezmała rok czasu, na wielgi podziw całemu światu. Gadają, że sam król jangielski dziwował się okrutnie; jak ją zobaczył, jaże gęba się mu rozdarła od ucha do ucha, a królowa z własnej ręki marcepanami toto karmiła. A w Warszawie sam nasz pan Naczelnik za rękę z nią się witał. Honorowali ją wszyscy, jako że rzadkość jest pono wielga. Nigdy jeszcze takiej nie było.

Baśka znajdowała się już na jedno strzelanie z rusznicy.

Ojciec Wawrzon w kupę dymiącego ciepłym gnoju wsadził na sztorc widły i wsparł się na nich oburącz. W tej postawie, przy tradycyjnej czynności polskiego kmiecia, miał w sobie jakiś majestat wieków, powagę świętej ziemi, uznanej, jak to się mówi, łzami i potem Ludu jednym słowem: „miał w sobie coś z króla Piasta i — basta!”

Długo oglądał zbliżającą się niedźwiedzicę, aż wreszcie rzekł:

— Ale mnie się widzi, że będzie z niej bardzo zacne futro dla Maryški, wedle tej mody, jak to noszą francuskie oficery w Warszawie, sierścią na wierzch...

— Sprawiedliwie mówicie, ojcz! — odrzekli trzej synowie, parobczaki na schwał.

A Baśka szła wprost do nich, ucieszona, że znów widzi ludzi, wezbrana ową wielkopańską łaskawością dla wszystkiego i wszystkich, którą od niejakiego czasu miała nawet dla nieznanomych. Ufała tym ludziom, trzymającym ostre widły w ręku: przecie w tym kraju nikt jej dotąd żadnej krzywdy nie wyrządził, owszem, wszyscy podziwiając kochali.

Gdy podeszła na odległość kilku kroków, ojciec Waw-

rzon przeżegnał się pobożnie, splunął w garść i zagrzmiał na synów:

— Chłopcy do wideł! Rrraz!...

Zakotłowało się na śnieżnym polu. Wrzask czterech chłopów, mordujących Baškę, wywabił ludzi z pobliskich chałup. Sypnęli się wkrótce ku Wawrzonowi z pomocą, chwytają co było na podorędziu.

Baśka tak się zdumiała niespodziewanym napadem, że nawet nie próbowała się bronić. I zginęła, skłuta widłami, bez najmniejszego oporu, jak łagodna sarna.

Zabrano się wnet do zdzierania cennej skóry. Zbiegły się psy wiejskie i zlizywały krew, przelaną na śniegu.

W trakcie tego nadbiegł Smorgoński z towarzyszymi. Ledwo nie utonęli, przebijając się łodzią przez gęstą krę, lecz pomimo to nie zdążyli na czas, by uratować Baškę. Zdumienie i żal straszny, na widok tego, co się stało, zdjęły żołnierzy i tak ich przygnębiły, że nikt z nich na razie nie pomstował i nie skłął chopów, jak na to zasłużyli.

Smorgoński rzekł tylko:

— Bodaj wam ręce i nogi połamało na równej drodze za to, coście z nią zrobili, takie syny. Ale wola boska, stało się i nie odstanie. Oddajcie ją nam, przynajmniej tak jak jest...

I zapłakał łzami, grubymi jak największy groch.

Lecz ojciec Wawrzon, dalej zdzierając kozikiem skórę z zabitej Baški, otarł tylko krwawą ręką uznajone czoło i odpowiedział:

— A niedoczekanie wasze! Nie znacie prawa pisanego? Moja jest, bom ją z narażeniem milego żywota na własnym groncie upolował. Nie dam!

— Twardy jest naród tutejszy! — zawołał na taką odpowiedź zdesperowany Smorgoński. — Niema co chłopaki. Do broni!...

Na to hasło żołnierze rozgrodzili w okamgnieniu pobliski płot, gdyż karabinów ze sobą nie wzięli, i na łbie ojca Wawrzona i jego synów, i kumów, i sąsiadów, wypisali ze wściekłością — z furją jakoby całego batalionu, rzucającego się wręcz do ataku z nastawionym bagnetem — swoje murmańskie, niezawodne, idące przed wszelkiem innym prawem, wojenne prawo.

Zaczem Baškę, odbitą z chłopskich rąk, włożyli na te same kije, którymi pokonali chłopów, i ponieśli ją ku łodzi, zostawionej przy brzegu, struci żalem i smutkiem, jak na pogrzebie rodzonej siostry.

Tego dnia przy raporcie wieczornym kapral Smorgoń-

ski meldował Dowódcy Baonu pułkownikowi Skokowskiemu :

— Panie pułkowniku, melduję posłusznie, że tutejsze polskie chłopcy rozparcelowali dzisiaj naszą Baškę na flaki... żeby Pan Bóg skarał ich ciężko za naszą krzywdę i sieroc-two !...

*

**

Taki był żywot i niewinna śmierć białej Niedźwiedzicy Murmańskiej, o której wdzięczna pamięć żyje w sercach trzystu murmańczyków i nie zaginie do grobowej deski, al-bowiem był to naprawdę bardzo piękny i strasznie kochany zwierz.

K o n i e c .

HENRYK SIENKIEWICZ

LATARNIK

I.

Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik w Aspinwall, nie-daleko Panamy, przepadł bez wieści. Ponieważ stało się to wśród burzy, przypuszczano, że nieszczęśliwy musiał podejść pod sam brzeg skalistej wysepki, na której stoi latarnia, i zo-stał splókaný przez bałwan. Przypuszczenie to było tym prawdopodobniejsze, że na drugi dzień nie znaleziono jego iódkki, stojącej w skalistym wrębie. Zawakowało tedy miej-sce latarnika, które trzeba było jak najprędzej obsadzić, po-nieważ latarnia niemałe ma znaczenie tak dla ruchu miejsco-wego, jak i dla okrętów, idących z New-Yorku do Panamy. Zatoka Moskitów obfituje w piaszczyste ławice i zaspý, mię-dzy którymi droga nawet w dzień jest trudna, w nocy zaś, zwłaszcza wśród mgieł, podnoszących się często na tych ogrzewanych podzwrotnikowym słońcem wodach, prawie niepodobna. Jedynym wówczas przewodnikiem dla licznych statków bywa światło latarni. Kłopot wynalezienia nowego latarnika spadł na konsula Stanów Zjednoczonych, rezydu-jącego w Panamie, a był to kłopot niemały, raz z tego powo-du, że następcę trzeba było znaleźć koniecznie w ciągu dwu-nastu godzin ; po wtóre, następca musiał być nadzwyczaj sumiennym człowiekiem, nie można więc było przyjmować byle kogo ; na koniec wogóle kandydatów na posadę bra-kło. Życie na wieży jest nadzwyczaj trudne i bynajmniej nie uśmiecha się rozpróźnionym i lubiącym swobodną włó-częgę ludziom Południa. Latarnik jest niemal więźniem. Z wyjątkiem niedzieli nie może on wcale opuszczać swej skalistej wysepki. Łódź z Aspinwall przywozi mu raz na dzień zapasy żywności i świeżą wodę, po czym przewożący odda-lają się natychmiast, na całej zaś wysepce, mającej morgę rozległości, nie ma nikogo.

Latarnik mieszka w latarni, utrzymuje ją w porządku ; w dzień daje znaki wywieszaniem różnokolorowych flag,

wedle wskazówek barometru, w wieczór zaś zapala światło. Nie była by to wielka robota, gdyby nie to, że chcąc się dostać z dołu do ognisk na szczyt wieży, trzeba przejść przeszło czterysta schodów krętych i nader wysokich, latarnik zaś musi odbywać tę podróż czasem i kilka razy dziennie. Wogóle jest to życie klasztorne, a nawet więcej, niż klasztorne, bo pustelnicze. Nic też dziwnego, że Mr. Izaak Falconbridge był w niemałym kłopotcie, gdzie znajdzie stałego następcę po nieboszczyku, i łatwo zrozumieć jego radość, gdy najniespodzianie następcą zgłosił się jeszcze tegoż samego dnia. Był to człowiek już stary, lat siedmiudziesiąt albo i więcej, ale czerstwy, wyprostowany, mający ruchy i postawę żołnierza. Włosy miał zupełnie białe, pleć spalona, jak u kreolów, ale sądząc z niebieskich oczu, nie należał do ludzi Południa. Twarz jego była przygnębiona i smutna, ale uczciwa. Na pierwszy rzut oka podobał się Falconbridge'owi. Pozostało go tylko wyegzaminować, wskutek czego wywiązała się następująca rozmowa:

- Skąd jesteście?
- Jestem Polak.
- Coście robili dotąd?
- Tułałem się.
- Latarnik powinien lubić siedzieć na miejscu.
- Potrzebuję odpoczynku.
- Czy służyliście kiedy? Czy macie świadectwa uczciwej służby rządowej?

Stary człowiek wyciągnął z zanadru spłowiwały jedwabny szmat, podobny do strzępu starej chorągwi, rozwinął go i rzekł:

— Oto są świadectwa. Ten krzyż dostałem w roku trzydziestym. Ten drugi jest hiszpański z wojny karlistowskiej; ten trzeci to legia francuska; czwarty otrzymałem na Węgrzech. Potem biłem się w Stanach przeciw południowcom, ale tam nie dają krzyżów — więc oto papier.

Falconbridge wziął papier i zaczął czytać.

— Hm! Skawiński? To jest wasze nazwisko? ... Hm! Dwie chorągwie, zdobyte własnoręcznie w ataku na bagnety . . . Byliście walecznym żołnierzem!

- Potrafię być i sumiennym latarnikiem.
- Trzeba tam co dzień wchodzić po kilka razy na wieżę. Czy nogi macie zdrowe?
- Przeszedłem piechotą pleny. (stepy w Kalifornii).
- All right - Czy jesteście obeznani ze służbą morską?
- Trzy lata służyłem na wielorybniku.

- Próbowaliście różnych zawodów?
- Nie zaznałem tylko spokojności.
- Dlaczego?

Stary człowiek ruszył ramionami.

- Taki los . . .
- Wszelako na latarnika wydajecie mi się za stary?
- Sir! — ozwał się nagle kandydat wzruszonym głosem, — jestem bardzo znużony i skołatany. Dużo, widzicie, przeszedłem. Miejsce to jest jedno z takich, jakie najgoręcej pragnąłem otrzymać. Jestem stary, potrzebuję spokoju! Potrzebuję sobie powiedzieć: tu już będziesz siedział, to jest twój port. Ach, Sir! to od was tylko zależy. Drugi raz się może taka posada nie zdarzy. Co za szczęście, że byłem w Panamie . . . Błagam was . . . Jak mi Bóg miły, jestem jak statek, który jeśli nie wejdzie do portu, to zatonie . . . Jeśli chcecie uszczęśliwić człowieka starego . . . Przysięgam, że jestem uczciwy, ale . . . dość mam tego tułactwa . . .

Niebieskie oczy starca wyrażały tak gorącą prośbę, że Falconbridge, który miał dobre, proste serce, czuł się wzruszony.

— Well! — rzekł. — Przyjmuję was. Jesteście latarnikiem.

Twarz starego zajaśniała niewypowiedzianą radością.

- Dziękuję.
- Czy możecie dziś jechać na wieżę?
- Tak jest.

— Zatem good bye!... Jeszcze słowo: za każde uchybienie w służbie dostaniecie dymisję.

— All right!

Tegoż samego jeszcze wieczora, gdy słońce stoczyło się na drugą stronę międzymorza, a po dniu promiennym nastąpiła noc bez zmierzchu, nowy latarnik był już widocznie na miejscu, bo latarnia rzuciła, jak zwykle, na wody swoje snopy jaskrawego światła. Noc była zupełnie spokojna, cicha, prawdziwie podzwrotnikowa, przesycona jasną mgłą, tworzącą koło księżyca wielki, zabarwiony tęczowo krąg o miękkich, nieujętych brzegach. Morze tylko burzyło się, ponieważ przyplływ wzbierał.

Skawiński stał na balkonie, tuż koło olbrzymich ognisk, podobny z dołu do małego, czarnego punkciku. Próbował zebrać myśli i objąć swe nowe położenie. Ale myśl jego była nadto pod naciskiem, by mogła snuć się prawidłowo. Czuł on coś takiego, co czuje szczuty zwierz, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiejś niedostępnej skale lub w pieczarze. Nadszedł nareszcie dla niego czas spokoju. Poćzucie

bezpieczeństwa napełniało jakąś niewysłowioną rozkoszą jego duszę. Oto mógł na tej skale poprostu urągać dawnemu tułactwu, dawnym nieszczęściom i niepowodzeniom. Był on naprawdę, jak okręt, któremu burza łamała maszty, rwała liny, żagle, którym rzucała od chmur na dno morza, w której biła fala, pluła pianą — a który jednak zawinął do portu. Obrazy tej burzy przesuwaly się teraz szybko w jego myśli w przeciwstawieniu do cichej przyszłości, jaka miała się rozpocząć. Część swych dziwnych kolei opowiadał sam Falconbridge'owi, nie wspomniał jednak o tysiącnych innych przygodach. Miał on nieszczęście, że ilekroć rozbił gdzie namiot i rozniecił ognisko, by się osiedlić na stałe, jakiś wiatr wyrwał kolki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego niósł na stracenie. Spoglądając teraz z wieżowego balkonu na oświecone fale, wspominał o wszystkim, co przeszedł.

Oto bił się w czterech częściach świata — i na tułaczce próbował wszystkich niemal zawodów. Pracowity i uczciwy, nieraz dorabiał się grosza i zawsze tracił go wbrew wszelkim przewidywaniom i największej ostrożności. Był kopaczem złota w Australii, poszukiwaczem diamentów w Afryce, strzelcem rządowym w Indiach Wschodnich. Gdy w swoim czasie założył w Kalifornii farmę, zgubiła go susza; próbował handlu z dzikimi plemionami, zamieszkującymi wnętrza Brazylii: tratwa jego rozbiła się na Amazonce, on zaś sam bezbronny i prawie nagi tułał się w lasach przez kilka tygodni, żywiąc się dzikim owocem, narażony co chwila na śmierć w paszczy drapieżnych zwierząt. Założył warsztat kowalski w Helenie, w Arkanzas i — spalił się w wielkim pożarze całego miasta. Następnie w Górach Skalistych dostał się w ręce Indian i cudem tylko został wybawiony przez kanadyjskich strzelców. Służył jako majtek na statku, kursującym między Bahią i Bordeaux, potem jako harupnik na wielorybniku; oba statki rozbiły się. Miał fabrykę cygar w Hawanie — został okradziony przez współnika w chwili, gdy sam leżał chory na „vomito”. Wreszcie przybył do Aspinwall — i tu miał być kres jego niepowodzeń. Cóż go bowiem mogło doścignąć jeszcze na tej skalistej wysepce? Ani woda, ani ogień, ani ludzie. Zresztą od ludzi Skawiński niewiele doznał złego. Częściej spotykał dobrych, niż złych.

Zdawało się natomiast, że prześladowają go wszystkie cztery żywioły. Ci, co go znali, mówili, że nie ma szczęścia, i tym objaśniali wszystko. On sam wreszcie stał się trochę maniakiem. Wierzył, że jakaś potężna a mściwa ręka ściga go wszędzie, po wszystkich lądach i wodach. Nie lubił jednak o tym mówić; czasem tylko, gdy go pytano, czyja to miała być re-

ka, ukazywał tajemniczo na gwiazdę polarną i odpowiadał, że to idzie stamtąd . . .

Rzeczywiście, niepowodzenia jego były tak stałe, że aż dziwne, i łatwo mogły zabić gwóźdź w głowę, zwłaszcza temu, kto ich doznawał. Zresztą miał cierpliwość Indianina i wielką spokojną siłę oporu, jaka płynie z prawości serca. W swoim czasie na Węgrzech dostał kilkanaście pchnięć bagnietem, bo nie chciał chwycić za strzemień, które mu ukazywano jako środek ratunku, i krzyżeć: pardon. Tak samo nie poddawał się i w nieszczęściu. Łazł pod górę tak pracowicie, jak mrówka. Zepchnięty sto razy, rozpoczynał spokojnie swoją podróż po raz setny pierwszy. Był to w swoim rodzaju szczególniejszy dziwak. Starty ten żołnierz, opalony Bóg wie na jakich ogniach, zahartowany w biedach, bity i kuty, miał serce dziecka. W czasie epidemii na Kubie zapadł na nią dlatego, że oddał chorym wszystką chininę, której miał znaczny zapas, nie zostawiwszy sobie ani grama.

Było w nim jeszcze i to dziwne, że po tylu zawodach zawsze był pełen ufności i nie tracił nadziei, że jeszcze wszystko będzie dobrze. W zimie ożywiał się zawsze i przepowiadał jakieś wielkie wypadki. Czekał ich niecierpliwie i myślał o nich żył lata całe . . . Ale zimy miały jedne za drugimi, i Skawiński doczekał się tylko tego, że ubielily mu głowę. Wreszcie zestarzał się — począł tracić energię. Cierpliwość jego poczynała być coraz podobniejszą do rezygnacji. Dawny spokój zmienił się w skłonność do roztkliwiania się, i ten hartowny żołnierz jął przerabiać się w bekse, gotowego zaizawić się z lada powodu.

Prócz tego od czasu do czasu tłukła go najstraszliwsza nostalgia, którą podniecała lada okoliczność: widok jaskółek, szarych ptaków, podobnych do wróbli, śniegi na górach lub zasłyszana jakaś nuta, podobna do słyszanej niegdyś . . . Na koniec opanowała go tylko jedna myśl: myśl spoczynku. Owładnęła ona starcem zupełnie i wchłonęła w siebie wszelkie pragnienia i nadzieje. Wieczny tułacz nie mógł już sobie wymarzyć nic bardziej upragnionego, nic droższego nad jaki spokojny kąs, w którym by mógł odpocząć i czekać cicho kresu. Może właśnie dlatego, że szczególne jakieś dziwactwo losu rzucało nim po wszystkich morzach i krajach tak, że prawie nie mógł tchu złapać, wyobrażał sobie, że największym szczęściem ludzkim jest — tylko nie tułać się. Coprawda, to i należało mu się takie skromne szczęście, ale tak już był zwyczajny zawodów, że myślał o tym, jak wogóle ludzie marzą o czymś niedoścignionym. Spodziewać się nie śmiał. Tymczasem niespodzianie w ciągu dwu-

nastu godzin dostał posadę, jakby wybraną dla siebie ze wszystkich na świecie. Nic też dziwnego, że, gdy wieczorem zapalił swoją latarnię, był jakby odurzony, że pytał sam siebie, czy to prawda, i nie śmiał odpowiedzieć: tak.

A tymczasem rzeczywistość przemawiała do niego nieprzetartymi dowodami; więc godziny jedna za drugą spływały mu na balkonie. Patrzył, nasyczał się, przekonywał. Mogło by się zdawać, że pierwszy raz w życiu widział morze, bo północ wybiła już na aspinwalskich zegarach, a on jeszcze nie opuszczał swojej powietrznej wyżyny — i patrzył. W dole pod jego stopami grało morze. Soczewka latarni rzucała w ciemność olbrzymi ostrokąt światła, poza którym oko starca ginęło w dali czarnej zupełnie, tajemniczej i strasznej. Ale dal owa zdawała się biegnąć ku światłu. Długie wiorstowe fale wytaczały się z ciemności, i rycząc, szły aż do stóp wysepki, a wówczas widać było spienione ich grzbiety, połyskujące różowo w świetle latarni. Przyływ wzmagał się coraz bardziej i zalewał piaszczyste ławice.

Tajemnicza mowa oceanu dochodziła z pełni coraz potężniej i głośniej, podobna czasem do huku armat, to do szumu olbrzymich lasów, to do dalekiego, zmaconego gwaru głosów ludzkich. Chwilami cichło, potem o uszy starca odbijało się kilka wielkich westchnień, potem jakieś łkanie — i znów groźne wybuchy. Wreszcie wiatr zwał mgłę, ale napędził czarnych, poszarpanych chmur, które przysłaniały księżyc. Z zachodu poczynano dąć coraz mocniej. Bałwany skakały z wściekłością na urwisko latarni, oblizując już pianą i podmurowanie. W dali pomrukiwała burza. Na ciemnej, wzburzonej przestrzeni zabłysło kilka zielonych latarek, powieszanych do masztów okrętowych. Zielone owe punkciki to wznosiły się wysoko, to zapadały w dół, to chwiałały się na prawo i na lewo. Skawiński zeszedł do swej izby. Burza poczęła wyć. Tam, na dworze, ludzie na owych okrętach walczyli z nocą, z ciemnością, z falą; w izbie zaś spokojnie było i cicho. Nawet odgłosy burzy słabo przedzierały się przez grube mury, i tylko miarowe tik-tak! zegara kołysało utrudzonego starca jakby do snu.

II.

Zaczęły upływać godziny, dni i tygodnie... Majtkowie twierdzą, że czasem, gdy morze bardzo jest rozhułane, woła coś na nich wśród nocy i ciemności po nazwisku. Jeżeli nieskończoność morska może tak wołać, to być może, że gdy

się człowiek zestarzeje, woła także na niego i inna nieskończoność, jeszcze ciemniejsza i bardziej tajemnicza, a im jest bardziej zmęczony życiem, tym miłsze są mu te nawoływania. Ale, by ich słuchać, trzeba ciszy. Prócz tego starość lubi się odosabniać, jakby w przeczuciu grobu. Latarnia była już dla Skawińskiego takim pół-grobem. Nic jednostajniejszego, jak podobne życie na wieży. Młodzi ludzie jeśli się na nie godzą, to po pewnym czasie opuszczają służbę. Latarnik też bywa zazwyczaj czelkiem niemłodym, posępnym i zamkniętym w sobie. Gdy wypadkiem porzuci swoją latarnię i dostanie się między ludzi, chodzi wśród nich, jak człowiek, zbudzony z głębokiego snu. Na wieży brak wszelkich drobnych wrażeń, które w zwykłym życiu uczą stosować wszystko do siebie. Wszystko, z czym styka się latarnik, jest olbrzymie i pozbawione zwartych, określonych kształtów. Niebo — to jeden ogół, woda — to drugi, a wśród tych nieskończoności samotna dusza ludzka! Jest to życie, w którym myśl jest raczej ciągłym zadumaniem się, a z tego zadumania nie budzi latarnika nic, nawet jego zajęcia. Dzień do dnia staje się podobny, jak dwa paciorki w różańcu, i chyba zmiany pogody stanowią jedyną różnicę.

Skawiński jednak czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy w życiu nie był. Wstawał świtaniem, brał posiłek, czyścił soczewki latarni, a potem, siadłszy na balkonie, wpatrywał się w dal morską, i oczy jego nie mogły się nigdy nasycić obrazami, które przed sobą widział. Zwykle na olbrzymim, turkusowym tle widać było stada wydętych żagli, świecących w promieniach słońca tak mocno, że aż oczy mrużyły się pod nadmiarem blasku; czasem statki, korzystając z wiatrów, które pasatami zowią, szły wyciągniętym szeregiem jedne za drugimi, podobne do łańcucha mew lub albatrosów. Czerwone beczki, wskazujące drogę, kołysały się na fali lekkim, łagodnym ruchem; między żaglami pojawiały się co dnia w południe olbrzymi szarawy pióropusz dymu. To parowiec z New - Yorku wiozł podróżnych i towary do Aspinwall, ciągnąc za sobą długi, spieniony szlak piany.

Z drugiej strony balkonu widział Skawiński, jak na dłoni, Aspinwall i jego ruchliwy port, a w nim las masztów, łodzie i łódki; nieco zaś dalej białe domy i wieżyczki miasta. Z wysokości latarni domki były podobne do gniazd mew, łodzie do żuków, a ludzie poruszali się, jak małe punkciki, na białym, kamiennym bulwarku. Z rana lekki wschodni powiew przynosił zmieszany gwar życia ludzkiego, nad którym górował świst parowców. W południe nadchodziła godzina sjęsty. Ruch w porcie ustawał; mewy kryły się w

szczerby skał, fale słaby i stawały się jakieś leniwe, a wówczas na lądzie, na morzu i na latarni nastawała chwila niezmaconej niczym ciszy. Żółte piaski, z których odpłynęły fale, lśniły na kształt złotych plam na obszarach wodnych; słup wieżowy odrzynał się twardo w błękitcie. Potoki promieni słonecznych lały się z nieba na wodę, na piaski i na urwiska. Wówczas i starca ogarniała jakaś niemoc, pełna słodyczy. Czuł, że ten odpoczynek, którego używa, jest wyborny, a gdy pomyślał, że będzie trwały, to mu już niczego nie brakło.

Skawiński rozmarzał się własnym szczęściem, ale, że człowiek łatwo oswaja się z lepszym losem, stopniowo nabierał wiary i ufności, myślał bowiem, że, jeśli ludzie budują domy dla inwalidów, to dlaczegoż by Bóg nie miał wreszcie przygarnąć swego inwalidy? Czas upływał i utrwał go w tym przekonaniu. Stary żył się z wieżą, z latarnią, z urwiskiem, z ławicami piachu i samotnością. Poznał się także i z mewami, które niosły się w załamach skalnych, a wieczorem odprawiały wiece na dachu latarni. Skawiński rzucał im zwykle resztki swego jądła, tak zaś przyswoiły się wkrótce, że, gdy to czynił potem, to otaczała go prawdziwa burza białych skrzydeł, stary zaś chodził między ptactwem, jak pastuch między owcami. W czasie odpływu wyprowiał się na niskie, piaszczyste ławice, na których zbierał smaczne ślimaki i piękne perłowe konchy żeglarków, które odpływająca fala osadzała na piasku. W nocy, przy świetle księżycy i latarni chodził na ryby, którymi roiły się załamy skalne. W końcu pokochał swoją skalę i swoją bezbrzeżną wysepkę, porośniętą tylko drobnymi, tłustymi roślinkami, sączącymi lepka żywicę.

Ubóstwo wysepki wynagradzały mu zresztą dalsze widoki. W południowych godzinach, gdy atmosfera stawała się bardzo przezroczystą, widać było międzymorze, aż do Pacyfiku, pokryte najbujniejszą roślinnością. Skawińskiemu wydawało się wówczas, że widzi jeden olbrzymi ogród. Pęki kokosów i olbrzymich muz składały się jakby w przepyszne czubiaste bukiety, tuż zaraz za domami Aspinwallu. Dalej, między Aspinwall a Panamą, widać było ogromny las, nad którym co rano i pod noc zwieszał się czerwony opar wzięwów — las prawdziwie podzwrotnikowy, zalany u spodu stojącą wodą, oplątany lianami, szumiący jedną falą olbrzymich storczyków, palm, drzew mlecznych, żelaznych i gumowych.

Przez swą strażniczą lunetę stary mógł dojrzeć nie tylko drzewa, nie tylko rozłożyste liście bananów, ale nawet gro-

mady małp, wielkich marabutów i stada papug, wzbijające się czasem, jak tęczowa chmura nad lasem. Skawiński znał z bliska podobne lasy, gdyż po rozbiciu się na Amazonce, błąkał się całe tygodnie wśród podobnych zielonych sklepień i gąszczów. Widział, ile pod cudną, śmiejącą się powierzchnią ukrywa się niebezpieczeństw i śmierci. Wśród nocy, jakie w nich spędził, słyszał z bliska grobowe głosy wyjców i ryki jaguarów, widział olbrzymie węże, kołyszące się na kształt lianów na drzewach; znał owe senne jeziora leśne, przepełnione drętwnami i rojące się od krokodyłów. Wiedział, pod jakim jarzmem żyje człowiek w tych niezgłębionych puszczech, w których pojedyncze liście przenoszą dziesięciokrotnie jego wielkość, w których roją się krwiożercze moskity, pijawki drzewne i olbrzymie jadowite pająki.

Wszystkiego sam doznał, sam doświadczył, wszystko sam przecierpiał; to też tym większą mu teraz sprawiało rozkosz patrzeć z wysokości na owe matos, podziwiać ich piękność, a być zasłoniętym od zrad. Jego wieża chroniła go przed wszelkim złem. Opuszczał ją też tylko czasami w niedzielę z rana. Przywdziewał wtedy granatową kapotę strażniczą ze srebrnymi guzami, na piersiach zawieszał swoje krzyże, i jego mleczna głowa podnosiła się z pewną dumą, gdy słyszał przy wyjściu z kościoła, jak kreole mówili między sobą: „Porządnego mamy latarnika”. — „I nie herezyk, chociaż Yankee!” Wracił jednak natychmiast po mszy na wyspę i wracał szczęśliwy, bo zawsze jeszcze nie dowierzał stałemu lądowi. W niedzielę także odczytywał sobie hiszpańską gazetę, którą zakupywał w mieście, lub new-yorskiego „Heralda”, pożądanego u Falconbridge’a — i szukał w nich skwpałiwie wiadomości z Europy.

Biedne stare serce! Na tej wieży strażniczej i na drugiej półkuli biło jeszcze dla kraju... Czasem także, gdy łódź, przywożąca mu co dzień żywność i wodę, przybiła do wysepki, schodził z wieży na gawędę ze strażnikiem Johnsen. Potem jednak widocznie zdziczał. Przestał bywać w mieście, czytywać gazety i schodzić na polityczne rozprawy Johnsa. Upływały całe tygodnie w ten sposób, że nikt jego nie widział, ani on nikogo. Jedynym znakiem, że stary żyje, było tylko znikanie żywności, pozostawionej na brzegu, i światło latarni, zapalone co wieczór z taką regularnością, z jaką słońce wstaje rankiem z wody w tamtych stronach. Widocznie stary zubożył dla świata. Powodem tego nie była nostalgia, ale właśnie to, że przeszła i ona w rezygnację.

Cały świat teraz zaczynał się dla starca i kończył się na jego wysepce. Żył się już z myślą, że nie opuści wieży do

śmierci, i po prostu zapomniał, że jest jeszcze coś poza nią. Przytem stał się mistykiem. Łagodne, niebieskie oczy jego poczęły być, jak oczy dziecka, zapatrzone wiecznie i jakby utkwione w jakiejś dali. W ciągłym odosobnieniu i wobec otoczenia nadzwyczaj prostego a wielkiego, począł stary tracić poczucie własnej odrębności, przestawał istnieć, jakby osoba, a zlewał się coraz więcej z tym, co go otaczało. Nie rozumował nad tym, czuł tylko bezwiednie, ale w końcu zdawało mu się, że niebo, woda, jego skała, wieża i złote ławice piasku, i wydęte żagle, mewy, odpływy i przypływy, to jakaś wielka jedność i jedna, ogromna tajemnicza dusza; on zaś zam pogrąża się w tej tajemnicy i czuje ową duszę, która żyje i koi się. Zatonął, ukołysał się, zapamiętał — i w tym ograniczeniu własnego, odrębnego bytu, w tym półczuwaniu, pół-śnie znalazł spokój tak wielki, że prawie podobny do pół-śmierci.

III.

Ale nadeszło przebudzenie.

Pewnego razu, gdy łódź przywiozła wodę i zapasy żywności, Skawiński, zeszedłszy w godzinę później z wieży, spostrzegł, że prócz zwykłego ładunku jest jeszcze jedna paczka więcej. Na wierzchu paczki były marki pocztowe Stanów Zjednoczonych i wyraźny adres „Skawiński Esq.,” wypisany na grubym żaglowym płótnie. Rozciekawiony starzec przeciął płótno i ujrzał książki: wziął jedną do ręki, spojrzął i położył na powrót, przy czym ręce poczęły drżeć mocno. Przysłonił oczy, jakby im nie wierząc: zdawało mu się, że śni — książka — książka była polska.

— Co to miało znaczyć? Kto mu mógł przysłać książkę? W pierwszej chwili zapomniał widocznie, iż jeszcze na początku swej latarnicznej kariery przeczytał pewnego razu w pożyczonym od konsula „Heraldzie” o zawiązaniu polskiego Towarzystwa w New-Yorku, i że zaraz przesłał Towarzystwu połowę swej miesięcznej pensji, w którą zresztą nie miał co robić na wieży. Towarzystwo, wywdzięczając się, przysłało książki. Przyszły one drogą naturalną, ale w pierwszej chwili starzec nie mógł pochwycić tych myśli. Polskie książki w Aspinwall, na jego wieży, wśród jego samotności, była to dla niego jakaś nadzwyczajność, jakieś technienie dawnych czasów: cud jakiś. Teraz wydało mu się, jak owym żeglarzom wśród nocy, że coś zawołało na niego po imieniu głosem bardzo kochanym, a zapomnianym prawie.

Przesiedział chwilę z zamkniętymi oczyma i był prawie

pewny, że gdy je otworzy, sen zniknie. Nie! Rozcięta paczka leżała przed nim wyraźnie, oświecona blaskiem popołudniowego słońca, a na niej otwarta już książka. Gdy stary wyciągnął znowu po nią rękę, słyszał wśród ciszy bicie własnego serca. Spojrzął: były to wiersze. Na wierzchu stał wypisany wielkimi literami tytuł, pod spodem zaś imię autora. Imię to nie było Skawińskiemu obce; wiedział, że należy ono do wielkiego poety, którego nawet i utwory czytywał po trzydziestym roku w Paryżu. Potem, wojując w Algerze i w Hiszpanii, słyszał od rodaków o coraz wzrastającej sławie wielkiego wieszca, ale tak przywykł wówczas do karabina, że i do ręki nie brał książek.

W czterdziestym dziewiątym roku wyjechał do Ameryki i w awanturniczym życiu, jakie prowadził, prawie nie spotykał Polaków, a nigdy książek polskich. Z tym większą też skwapliwością i tym żywiej bijącym sercem przewrócił kartę tytułową. Zdało mu się teraz, że na jego samotnej skale poczyna się dzieć coś uroczystego. Jakoż była to chwila wielkiego spokoju i ciszy. Zegary aspinwalskie wybiły piątą po południu. Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławiło się w błękitach. Ocean był ukołysany. Nadbrzeżne fale zaledwie belkotały z cicha, rozplywając się łagodnie po piaskach. W dali śmiały się białe domy Aspinwallu i cudne grupy palm. Naprawdę było jakoś uroczyste a cicho i poważnie. Nagle wśród tego spokoju natury rozległ się drżący głos starego, który czytał głośno, by się samemu lepiej rozumieć:

„Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś, jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie . . .”

Skawińskiemu zabrakło głosu. Litery poczęły mu skakać do oczu; w piersi coś urwało się i szło na kształt fali od serca wyżej i wyżej, tłumiąc głos, ściskając za gardło . . . Chwila jeszcze: opanował się i czytał dalej:

„Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie, dziecko, do zdrowia powróciłeś cudem,
(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść, za wrócone życie podziękować Bogu),
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono . . .”

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię; jego mleczone włosy zmieszały się z piaskiem nadmorskim. Oto czterdzieści lat dobiegało, jak nie widział kraju, i Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego — przepłynęła ocean i znalazła go, samotnika, na drugiej półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna! We łkaniu, jakie nim wstrząsnęło, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczym . . .

On poprośtu tym wielkim płaczem przeproszał tę ukochaną, oddaloną za to, że się już tak zestarzał, tak zżył z samotną skałą i tak zapamiętał, iż się w nim tęsknota poczynała zacierać. A teraz „wracał cudem” — więc się w nim serce rwało. Chwile mijaly jedna za drugą; on wciąż leżał. Mewy przyleciały nad latarnię, pokrzykując, jakby niespokojne o swego starego przyjaciela. Nadchodziła godzina, w której je karmił resztkami swej żywności, więc kilka z nich zleciało z wierzchu latarni aż do niego. Potem przybyło ich coraz więcej i zaczęły go dziobać lekko i furkotać skrzydłami nad jego głową. Szumy skrzydeł zbudziły go. Wypłakawszy się, miał teraz w twarzy jakiś spokój i rozpromienienie, a oczy jego były jakby natchnione.

Oddał bezwiednie całą swoją żywność ptakom, które rzuciły się na nią z wrzaskiem, a sam wziął znowu książkę. Słońce już było przeszło nad ogrodami i nad dziewiczym lasem Panamy i staczało się zwolna za międzymorze, ku drugiemu oceanowi, ale i Atlantyk był jeszcze pełen blasku; w powietrzu widno zupełnie, więc czytał dalej:

„Tymczasem przenoś duszę moją utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych . . .”

Zmierzył dopiero zatarł litery na białej karcie: zmierzch krótki, jak mgnienie oka. Starzec oparł głowę o skałę i przymknął oczy. A wówczas „Ta, co jasnej broni Częstochowy” zabrała jego duszę i przeniosła „do tych pól, malowanych zbożem rozmaitym”.

Na niebie paliły się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on, w tych światłościach leciał ku stronom kochanym. Zaszumiały mu w uszach lasy sosnowe, zabełkotały rzeki rodzinne. Widzi wszystko, jak było. Wszystko go pyta: „Pamiętasz?” On pamięta! a zresztą widzi: pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski. Noc już! O tej porze już zwykle jego latarnia rozświecała ciemności morskie — ale teraz on sam jest we wsi rodzinnej. Stara głowa pochyla się na piersi i śni. Obrazy przesuwają się przed jego oczyma szybko i tro-

chę bezładnie. Nie widzi domu rodzinnego, bo starła go wojna, nie widzi ojca ani matki, bo go odumarli dzieckiem; ale zresztą wieś, jakby ją wczoraj opuścił: szereg chałup ze świetelkami w oknach, grobla, młyn, dwa stawy, podane ku sobie i brzmiały całą noc chórami żab.

Niegdyś w tej swojej wiosce stał nocą na widecie, teraz przeszłość ta podstawia się nagle w szeregu widzeń. Oto znowu jest ułanem i stoi na widecie: z dala karczma pogłada płonącymi oczyma i brzmi, i śpiewa, i huczy wśród ciszy nocnej tupotaniem, głosami skrzypiec i basetli. „U-ha! U-ha!” To ułany krzeszą ognia podkówkami, a jemu tam nudno samemu na koniu! Godziny wloką się leniwo, wreszcie światła gasną; teraz, jak okiem sięgnąć, mgła i mgła nieprzejrzana; opar widocznie podnosi się z łąk i obejmuje świat cały białawym tumanem. Rzekłbyś: zupełnie ocean. Ale to łąki: rychło czekać, jak derkacz ozwie się w ciemności i bąki zahuczą po trzcinach. Noc jest spokojna i chłodna, prawdziwie polska noc! W oddali bór sosnowy szumi bez wiatru . . . jak fala morska. Wkrótce świtanie wschód ubieli: jakoż i kury pieją już w zapłociach. Jeden drugiemu podaje głos z chaty do chaty; wraz i zórawie krzyczą już gdzieś z wysoka. Ułanowi jakoś rzeźko, zdrowo. Coś tam gadali o jutrzejszej bitwie. Hej! to i pójdzie, jak pójda inni z krzykiem i furkotaniem chorągiewek. Młoda krew gra, jak trąbka, choć powiew nocny ją chłodzi. Ale już świta, świta! Noc blednie: z cienia wychylają się lasy, zarośla, szereg chałup, młyn, topole. Studnie skrzypią, jakby blaszana chorągiewka na wieży. Jaka ta ziemia kochana, śliczna, w różowym blasku jutrzni! Oj, jedyna, jedyna!

Cicho! Czujna wideta słyszy, że się ktoś zbliża. Zapewne idą zluzować warty.

Nagle jakiś głos rozlega się nad Skawińskim:

— He, stary! wstawajcie. Co to wam?

Stary otwiera oczy i patrzy ze zdziwieniem na stojącego przed sobą człowieka. Resztki snu i widzeń walczą w jego głowie z rzeczywistością. Wreszcie widzenia bledną i nikną. Przed nim stoi John, strażnik portowy.

— Co to? — pyta Johns — chorzyście?

— Nie.

— Nie zapaliliście latarni. Pójdziecie przecz ze służby. Łódź z San-Geromo rozbiła się na mieliźnie, szczęściem nikt nie utonął; inaczej poszlibyście pod sąd. Siadajcie ze mną, resztę usłyszycie w konsulacie.

Stary pobladł; istotnie nie zapalił tej nocy latarni.

W kilka dni później widziano Skawińskiego na pokładzie statku, idącego z Aspinwall do New - Yorku. Biedak stracił posadę. Otwierały się przed nim nowe drogi tułactwa ; wiatr porywał znowu ten liść, by nim rzucić po lądach i morzach, by się nad nim znęcać do woli. To też stary przez te kilka dni posunął się bardzo i pochylił ; oczy miał tylko błyszczące. Na nowe zaś drogi życia miał także na piersiach swoją książkę, którą od czasu do czasu przyciskał ręką, jakby w obawie, by mu i ona nie zginęła . . .

K o n i e c .

STEFAN ŻEROMSKI

ECHA LEŚNE

Pan generał Rozłucki siedział uroczyście na stołku składanym. Stołek ów, (własność przenośna geometry Knopfa), mieścił się w samym środku dywanu, zdjętego z nad łóżka mojej matki. Po drugiej stronie ogniska, na pniaku, z wzorową starannością zasłanym pledem, w gumowym płaszczu do samej ziemi, niby w ruchomym namiocie, kurczył się i wykrzywiał wzmiankowany wyżej geometra Knopf. Obok niego w rosochatych gałęziach wykrota, przyniesionego przez strzelca, niewygodnie tkwił podleśny Gunkiewicz, piastując z pieczołowitością szklaneczkę araku z dodanymi dla pozoru dwoma łyżeczkami herbaty. Pisarz gminny Olszakowski i stary wójt Gala z miedziakiem „za umierzenie polskiego miatieża”, na rudej sukmanie siedzieli obok siebie. Ojciec mój, przywykły na polowaniach do lasu, wpół leżał na ziemi, a niżej podpisany, zaszczycony właśnie „promorą” z klasy drugiej do trzeciej, był wszędzie, gdzie go nie posiadli.

Dymisjonowany generał Rozłucki, plenipotent jednego z najbardziej sówicie obdarowanych donatariuszów, zjechał był właśnie do folwarku od dawien dawna dzierzawionego przez mego ojca, ażeby wskutek wynikłych z „ukazu” zamian gruntów, przyłączyć z lasów rządowych do obszaru dworskiego znaczny płat boru. Odcięcie trójkąta leśnego już się prawie dokonało. Geometra Knopf, który od tygodnia „bawił” w domu naszym, ku śmiertelnemu wszystkim udźczeniu, wyciął nareszcie „linię” a wynajęci drwale już ją oddawna rąbali w starym, ciemnym lesie. Plenipotent, który również gościł już od trzech dni na folwarku, miał zamiar co prędzej oddać ojcu mojemu w obecności władz miejscowych las przyłączony. Dwie partie chłopów rąbały linię, zbliżając się ku sobie ze stron przeciwległych. Sądzone, że uda się sprawę załatwić przed zachodem słońca. Tymczasem noc głucha zapadła, a linia nie była wycięta. Generał postanowił bądź co bądź nazajutrz wyjechać. Urzędnicy pragnęli również ukończyć czynność. Zgodzono się tedy, żeby prowadzić robotę nocą, choćby do rana.

Tuż pod lasem rozłożono ognisko. Ze dworu, odległego o jakie dwie wiorsty, przyniesiono kolację — i oto czekaliśmy na ścieżce kilkudziesięciu pozostałych jodeł, bawiąc się w miarę możności.

Wszyscy byli w nienajgorszych humorach. Pocziwy Gunkiewicz zresztą „pożyczki” na skroniach i brodziną uczernioną tanim czernidłem wychlipał już był conajmniej dziewięć szklanek herbaty z arakiem, obawiając się tkliwie, gdy mu nową podawał, czy też nie będzie za wiele „boć to zdaje się już trzecia...” Zapewniałem go ze stanowczością osoby, która nabyła właśnie wielkiej biegłości w arytmetyce aż do ułamków dziesiętnych, że „bynajmniej” — więc poddawał się oczywiście, ulegał z pokorą światłu wiedzy i przyjmował nową porcyjkę araku. Pisarz gminny Olszakowski, znawca wszelkiego rodzaju spraw człowieczych, osobliwie zaś powiatowo - gminnych sposobów piorunującego robienia majątku, (za co nawet „cierpiał” już był przez czas pewien w kieleckim kryminale), geniusz niewatpliwy, który mógłby z powodzeniem piastować urząd ministra spraw wewnętrznych czy zewnętrznych, a nawet bez żadnego wysiłku te obiedwie godności, notoryczny łapownik, zdzierca chłopów, wyzyskiwacz żydów, najznakomitszy wymijacz prawa i grassant parafialny, pił mało ze względu na obecność generała i awansował się bardziej w kierunku jądła. Ponieważ jednak w swej wszechwiedzy nic sobie z tego generała nie robił, nie skąpił tedy zebrany pogodnego wesela ducha. Wójt Gała chrupał żuchwami i łykał chyłkiem, co mu się podsunęło, pił zaś bez wstretu, a pomrukiwał wesoło. Widać było, że chętnym i ochotnym sercem spełnia tę służbę państwową na pobrzeżu leśnym, oraz że chwali sobie na ogół dzisiejszą czynność.

Nawet Knopf, chodzący katar żołądka, (tudzież kiszek), zeschły neurastenik, istota jadająca tylko rzeczy niektóre, lekko strawne, nie kwaśne, suche i to takie właśnie, jakich na wsi zapadłej, a osobliwie w górach świętokrzyskich nikt nigdy, jak świat światem, nie tylko nie jadał, nie widział, ale nawet nie znał z nazwiska — nudziarz, nie śpiający po nocach, nie znoszący piania kogutów, szczekania psów, bełkotu indorów, gegania gąsiorów, a nawet gdakania kur, istna plaga egipska dla ludzi zdrowych, silnych, gospodarujących w miejscu, gdzie się kochano w psiarni, gdzie kundle, ogary, wyżły, jamniki i wogóle „pieski” najrozmaitszego wieku i gatunku nietylko szczekały i wyły po całych nocach, ale nadto wylegiwały się po kanapach i sofach, — gdzie koguty piałły bez przerwy, a gdy nie piałły, to je za to natychmiast

zarzynano, — nawet, mówię, Knopf był w niezłym tego dnia usposobieniu.

Opowiedział zebrany jakąś anegdotkę kwaskowato dowcipną o swej astrolabii, którą, według opinii złośliwych, ubierał we własne kalosze, spodnie, marynarkę i kapelusz dla ochrony przed deszczem... Puefitę anegdoty zepsuł, co-prawda, podleśny Gunkiewicz przedwczesnym wybuchem śmiechu w miejscu akurat niezawierającym nic dowcipnego, — mimo to jednak Knopf się uśmiechał, co było istnym fenomenem na przestrzeni trzech gubernii w ciągu kilku lat.

Generał, ramolcio nieźle zakonserwowany, trzymał się z właściwą powagą. Pisarza i wójta przy tej improwizowanej wieczerzy prawie nie dostrzegał, znosił jednak bez protestu ich obecność i nic nie miał przeciwko temu, żeby spożywali z apetytem kurczęta, platy pieczeni na zimno takiej i owakiej, żeby, przymknawszy oczy „spuszczali” kielichy „bretnalówki”, „zagryzali” rzeczony kielichy szklanicami piwa, a „rozgrzewali się” herbatą z arakiem. Gunkiewiczza zaszczycał od czasu do czasu słowem generalskim z Knopfem — rozmawiał. Sam jadł z wolna i popijał herbatę.

Generał był Polakiem i ostentacyjnie mówił zawsze po polsku, nawet w urzędach. Znać było w jego wymowie pewne zacięcie i akcent pasował jakoś do jego wyniosłej figury, do grubej kurty szczególnego kroju, okrągłej czapki z czerwonym lampasem i niebywalej wielkości daszkiem, do sukiennych kamaszów i siwych, podkręconych wąsów.

Ogień buchał, podsycany przez strzelca. Suchy jałowiec palił się z wesołym trzaskiem. Z lasu leciał po rosie wieczornej łoskot siekier. Łoskot uderzał w lasy, w ogromne, świętokrzyskie bory jodłowe, puszcę wilgotną, senną, głuchą. Echa ciosów mknęły od góry, do góry, od kniei do kniei w dal czarną, w noc, we mgle.

Odbite, wypędzone, dalekie głosy drżały kędyś za światem i z za świata wołały. Przelekle, niewymowne wracały z dali, z moczarów, gdzie nikt nie chodzi, gdzie „straszy”.

Co pewien czas rozlegał się wśród stuku siekier jadowity trzask leżącego drzewa, szum i łomot obszaru jego gałęzi, potężny, głuchy grzmot upadku wielkiego pnia. Echo porywało ten głos i niosło w ciemną nocną dalekość wieść coraz głuchszą, o tym ciosie przejmujące zwiastowanie... Wszystek las łamał się i rozpadał, huczał wszystkimi drzewami świadectwo niezapomniane i żywym głosem z ciemności wzywał...

Wyplął z zasłon leśnych olbrzymi, czerwony księżyc i wolno szedł wśród ciemnych obłoków. Towarzystwo ze-

brane przy ognisku zamilkło. Chłód powiał. Mój wierzcho-
wiec, (siwa szkapa folwarczna, jasnokoścista półemerytka,
której po przyjeździe na wakacje obciąłem był ogon i grzy-
wę, którą torturowałem popręgami starej kulbaki i zmusza-
łem do zabójczych galopów), stał w pobliżu ogniska. Widać
było pocziwy łeb i przednie łopatki, kopyta na emeryturze,
a nade wszystko oczy, przedziwnie rozmyślające o płonącym
ognisku i o nas, ludziach tam zebranych...

Generał oddawna postawił szklanę na tacy i siedział
wyprostowany, z nogą zgrabnie odstawioną, a piersią wy-
sunietą. Czasami oglądał się na las. Słuchał, jak echa grają,
i znowu ustawiał głowę we właściwej formie.

Rzekł, zwracając się do Guńkiewicza :

— Panie podleśny, a jak daleko z tego oto miejsca do
Suchedniowa ?

Guńkiewicz postawił szklanę i z należytych pochyle-
niem zamaskowanej łysiny oświadczył, że na prostaki nie
będzie dziesięciu wiorst.

— A pan tu drogi wszystknie zna ?

Guńkiewicz uśmiechnął się z dumą, czy politowaniem.
Nie znajdował słowa zbyt dosadnego na wyrażenie swej zna-
jomości tamtejszych wertepów : od lat dwudziestu kilku był
podleśnym.

— Tak... — bąknął generał w zamyśleniu. — A pan taką
drogę zna : od Zagnańca ku Wzdółowi ? Była tam przy tej
drodze karczma w szczerym lesie...

— Zagoździe — jakże ! Stoi.

— Jedna korzenista droga szła stamtąd w kierunku Su-
chedniowa, a druga, lepsza na Wzdół, na Bodzentyn.

— Tak jest panie generale.

— Więc karczma, pan mówisz stoi !

— Stoi. Najgłówniejsza złodziejska przystań i ucieczka.
Z całej korony polskiej koniokrady tam się właśnie schodzą.

— Przed tą karczmą, za drogą, po drugiej stronie był
wydmuch piasku. Duży żółty... Na tym wydmuchu rosło kil-
ka brzóz...

— A to generał pamięta doskonale ! Z tych tam brzóz
tylko jedna została. A były już brzozy — ba — ba ! Karcz-
marz łajdak je wyciął. Jedna z tych brzóz została i to dlatego,
że o nią krzyż oparty. Już, szelma, tej tknąć nie śmiał.

— Co za krzyż ? Skąd tam krzyż ? — żywo spytał
Rozłucki.

— A tam krzyż stoi... w tym miejscu...

— Z jakiej racji krzyż w tym miejscu ?

— Jak to krzyż, panie generale. Ludzie postawią, drudzy

czapki uchylają — i tak se ta stoi... Już też i spróchniał od
dołu, podparło go się tam z boku dwoma „pasierbami”...

— Kto postawił ? — nalegał generał.

— Prawdę powiedziawszy... mruknął niewyraźnie Guń-
kiewicz, uśmiechając się nieśmiało, — prawdę powiedziaw-
szy, to ja ten krzyż postawiłem... Drzewa tu mamy w bród.
Wzięło się jodłę zdrową, jędrną, wystałą. Obrobił ją do kan-
tu, a nawet tu obecny cieśla, a nasz teraz pan wójt...

— E, nie ma ta o czym, co ta... opędział się niechętnie
wójt Gała.

— Wpuściło się drzewo w ten piach głęboko, głęboko...

— A dlaczegoż w tym właśnie miejscu ?

— Dlatego, proszę łaski pana generała, że w tym miej-
scu leży człowiek pochowany, tam w tej wydmie.

— Człowiek pochowany... — powtórzył generał. — A
pan tego człowieka znałeś może, co ?

— A no... Juścić go znałem, bo na takim leśnictwie, jak
moje, trudno było nie znać... Lasy wokolusieńko milami. Kto
już w te lasy wlaźł, to mojego węgła, a nawet mojego łóżka
pewno nie ominął.

Generał zwiesił głowę i przez czas dość długi siedział
w milczeniu. Wyjął wreszcie z bocznej kieszeni srebrną pa-
pierośnicę, otworzył ją niepewnymi palcami.

— A wiesz pan — mówił z zimnym uśmiechem —
że ów człowiek, co tam pochowany leży, to mój rodzony
bratanek...

Geometra Knopf, który dotąd siedział bez ruchu, zapar-
trzony w płomień ogniska z takim zacięciem ust, jakby miał
przed sobą coś obmierzonego, rzucił na generała gwałtowne
spojrzenie :

— Rymwid ? ! — zawołał.

Generał zwrócił się ku niemu :

— To właśnie... Rymwid... A i pan coś o nim wiesz...

Knopf wykonał ustami szereg wykrzywień, jakby przed
chwilą pił czysty sok cytrynowy, kiwał chudą ręką w roz-
maitych kierunkach, mrugał białymi powiekami. Wreszcie
wśród najnieznośniejszych dla oka, a obłudnych uśmiechów,
mruknął :

— No tak... Rymwid... Rozumie się...

— Rymwid ! — powtórzył generał z zaciekłością i szy-
derstwem. — On, porucznik mojego pułku — Rymwid !
„Kapitan” ! No i dograł się...

— Więc to rodzony bratanek... z trwogą szeptał Guń-
kiewicz, wybałuszając ogłupiałe oczy.

— Rodzonego brata drugi z rzędu syn, Jan — mówił

generał w zadumie. — Brat mój w sewastopolskiej wojnie pod Małachowym Kurhanem sławnym zginął. Generał major, mikołajewskich czasów człowiek. Za węgierską kampanię nagrodzony stopniem, orderami, majątkiem w penzeńskiej gubernii. Na polu bitwy umierając, mnie tych dwóch synów swoich polecił. Jam mu braterskie i żołnierskie słowo dał, że ich na ludzi wychowam, w świat wyprowadzę. No i dochowałem słowa. I dochowałem... Starszy na Kaukazie służył i tam z cholery umarł w randze sztabskapitana. Piotr bezżenny. Młodszy Jan, przy mnie w pułku służył po skończeniu korpusu. Ożenił się młodo z Polką, Płazianką, synka małego miał, kiedy to podle powstanie przyszło. Przyszło to podle powstanie, moi panowie, odkomenderowali... Ja wtedy byłem w randze podpułkownika. Poszliśmy w opoczyńskie...

Generał zamyślił się głęboko. Knopf skreślił w palcach misternie równego papierosa, wsunął go ostrożnie do cygarniczki i szukał pracowicie węgielka, od którego mógłby zapalić. Generał czekał, zdawało się, na chwilę, kiedy nareszcie zapali, a gdy Knopf zaciągnął się dymem, rzekł :

— No tak. Ten mój bratanek zdradził. Tylko co rozlokowaliśmy się na leżach, uszedł nocą do bandy. Rano jednego dnia raportuje mi kapitan Szczukin, że tak i tak : Jana nie ma. W kwaterze, gdzieśmy stali, w Sielpi, znaleziono kartkę na stole z zawiadomieniem mnie, jako dowódcy wówczas trzech batalionów, „że wierny obowiązkowi dla swej ojczyzny” — i tym podobne brednie. Mnie, swego przełożonego i stryja, wzywa, żebym także splamił swój oficerski honor, złamał przysięgę i uciekał za nim do bandy, do lasu. Tak to, moi panowie.

Knopf ćmił swego papierosa uważnie, powoli. Puszczal matematycznie dokładne kółka dymu i śledził je oczyma. Guńkiewicz nie chciał już pić herbaty. Siedział oszołomiony, patrząc w mowę jak w tęczę...

— Doszły mnie wieści — ciągnął generał — że nasz uciekinier jest szefem sztabu w jednej z band. No, dobrze... Po to, — mówi do mnie kapitan Szczukin, dowódca roty, pod którym mój bratanek służył — po to poszedł. W wojsku służba twarda, ciężka, niewdzięczna, a w bandach służba lżejsza. Tam nasz praporszczyk, byłby bez trudu i zachodu kapitanem. O co, jak o co, mówi, ale o awans w tych wojskach polskich nie trudno.

Knopf skończył swego papierosa i śmiał się z dowcipu kapitana Szczukina. Generał mówił :

— Szliśmy wciąż obławami to za taką partią, to za inną. Co wyjdziem od Końskich w Suchedniowskie lasy, to oni

ujdą w głąb, ku Bodzentynowi. My się wrócimy, to ci za nami. Jeden szczególnie wódz, pułkownik czy kapitan, nazwiskiem „Walter”, najbardziej nas zwodził. Palił nocą szerokie ogniska, niby to obóz, a sam usuwał się od takiego miejsca dosyć daleko i nocował bez ognia. My ciągniemy obławą, otaczamy cichaczem owe ogniska, napadamy wreszcie nocą — pustka. A on tymczasem nauczony has podchodzi, jak rabuś, strzela w naszych żołnierzy, pod blask ognisk i umyka w knieje. Miał i chłopów zbalamuconych, którzy nas nocą prowadzili na te fałszywe obozy.

Pisarz spojrzął na wójta Gałę z podębą i uśmiechnął się niezdrowym śmiechem. Wójt siedział wyprostowany, z oczami wlepionymi w generała.

— Tak było wielokroć w Samsonowskim...

— Pod Gozdem... — dorzucił Guńcewicz.

— A i pod Gozdem...

— Pod Klonowem... — mruknął Knopf.

— Ale przerwała się zabawa, — wtrącił generał. —

Na raz, na dwa, na trzy wreszcie się sztuka uda, ale nie na zawsze. Zdarzyło się, że szedłem na czele kilku rot od Zagnańska ku Wzdolowi — ot tą drogą na karczmę. Zano-cowałem w karczmie, a Szczukina posłałem z rotą na polski tego Waltera. Do bitwy gałgan nie idzie, leży tygodniami w bagnie koło Klonowa, w Bukowej górze — musimy go szukać. Ledwie tej nocy zasnął, budzi mnie adiutant, młody człowiek : strzały gęste w lasach. Ocknąłem się. Las rzeczywiście huczy... Ot, jak teraz. Żal... Serce boli. Posłałem ją drugą rotę na wsparcie Szczukinowi. Nie upłynęło więcej nad dwie godziny, nadciągnęli. Wprowadził ich chłop na obozowisko, ale już teraz prawdziwe. Kiedy ich ogarnięto i uderzono bagnetem, większość wybiła się i pierzchła w las, sporo zginęło na miejscu. Szczukin przyprowadził wziętego w „rukopasznom” boju krótko mówiąc, nie kogo innego, tylko mego bratanka „Rymwida”.

Miałem ja rozkaz nieodwołalny od mego generała brygady lasy aż po Bodzentyn oczyścić za wszelką cenę — z prawem życia i śmierci. Nie było czasu na wysłanie jeńców do więzienia w Kielcach, a siły miałem szczupłe. Oficerowie wzburzeni. We mnie jako krewnego, surowym, pytającym wzrokiem patrzą. Kazałem złożyć sąd polowy i to natychmiast, bo trzeba było bandę ścigać bez zwłoki. Ja przydujący, kapitan Szczukin i kapitan Eiedotow z prawej strony, porucznik von Tauwetter i feldfebel Jewsiejenko — z lewej strony. Zasiadliśmy natychmiast w wielkiej izbie tej karczmy. Łojowa świeca paliła się w lichtarzu... Generał mó-

wił coraz szybciej, niezrozumialej, coraz częściej wtrącał rosyjskie wyrazy, zwroty, zdania. Poprawił się na krześle i ciągnął :

— Przeprowadzili. Sześciu żołnierzy, on w środku. Mały, wychudły, czarny, „oborwaniec”. Włosy „wzjeroszony”. Ledwie poznać... Spojrzę ja na niego : Jaś, rodzzonego brata ulubiony syn. Na kolanach wyhodowałem... Jakieś na nim gałgany... Twarz przez całą szerokość rozorana bagnietem, sina, zapuchnięta. Jak wprowadzili, tak i stanął przy drzwiach. Czeka. A ty, sędzio, siadź !

— No — tam pytanie urzędowe, formalne : — kto jest ? — Milczy. Patrzymy w niego wszyscy. Towarzysz dobry, kolega kochany, dusza - człowiek, oficer pierwszorzędny. Twarz jego zrobiła się harda, zastygła, skrzywiona od jakiegoś uśmiechu, co tę twarz miłą, dobrą i miękką wykrzywił, podobnie — ot, jak kowal weźmie i wykrzywi w ogniu raz na zawsze miękkie żelazo w krzywy hak. Ci żołnierze, co go strzegli, to byli zarazem świadkowie. Zeznają, że go pojмали w lesie, nocą, bijącego się z nimi pierś w pierś, zeznają, że on i jest ten sam, ich własny porucznik, Rozłucki. Sprawa jasna, cóż tu więcej ? Głosować... Wtedy zwraca się do mnie sędzia z prawej strony, kapitan Szczukin, i powiada, że chce jeszcze podsądnemu pytania zadawać. Cóż — zadawaj. Wstał Szczukin ze swego miejsca, kulakami oparł się o ten stół, ku niemu. Żyły mu na czoło wylazły, twarz zczerniała, jak ziemia. Oczy wlepił w winowajcę. Czekamy wszyscy, o co go jeszcze będzie badał. Tymczasem ten słowa wypowiedzieć nie może, bo człowiek był twardy i nieuczony. Nozdrza mu drgają, brwi się zeszyły. Zaczął walić kulakiem w stół i wołać ku podsądnemu :

— Rozłucki ! ty nie śmieć tu przed nami hardo stać ! Nie śmieć w nas patrzeć takimi oczami ! Tyś zaprzysięgał, czy nie ? Coś zrobił z twoją przysięgą ? Odpowiadaj ! Przysięgałeś, czy nie ?

— Przysięgałeś — jął znowu krzyzczeć Szczukin na całą karczmę, gniotąc stół pięściami — a z tą świętą przysięgą ty coś zrobił ? Tyś z szeregu uciekł do wroga ! To prawda, czy nie ?

— To prawda.

— Razem z innymi zdrajcami swego panującego, napadłeś na jego wojsko z zasadzki. Prowadziłeś zdrajców, dawałeś im najzgubniejsze wskazówki, uczyłeś ich, gdzie i jak uderzać. Ja sam widziałem cię dzisiejszej nocy z żołnierzami twej własnej roty. Ja tu świadczę, że widziałem,

jak żołnierz Deniszczuk zranił cię bagnietem. To prawda, czy nie ?

— Jeżeli to wszystko prawda, to ty nam, żołnierzom prawym i wiernym w oczy tu mężnym wzrokiem patrzeć nie śmieć ! Stoisz przed obliczem sprawiedliwego sądu. Twój własny stryj sąd nad tobą sprawuje. Spuść oczy i zniż się, bo ty jesteś zdrajca i nędznik !

On na to rzekł :

— Ja stoję przed sądem Boga. A ty mnie sądz według swojego sądu, jak chcesz.

Szczukin siadł.

Głosowanie. Dwa głosy padły za karą natychmiastową, Szczukina i von Tauwettera, dwa za odesłaniem pod konwojem do Kielc. Mnie tedy przyszło przechylić szalę. No i przechyliłem... — mówił cicho, kiwając głową. Mieli wyprowadzić. Jewsiejenko wniósł, że może ostatnie ma życzenie. Dałem głos. Spojrzał tedy na mnie tymi pieczarami oczu, wlepił je we mnie. Staliśmy wszyscy za stołem. On podszedł blisko. Patrzy mi w oczy, ja w niego. Jakby dwie lufy pistoletowe przystawił... Pamiętam surowe słowa :

Rozkazuję przed śmiercią, i to jest moja niewzruszona ostatnia wola, żeby mój mały, sześćioletni syn Piotr był wychowany jako Polak, taki sam, jak ja. Rozkazuję, ażeby go uczyły, choćby to było przeciwne sumieniu wychowawcy, jak jego ojciec zrobił wszystko, aż do samego końca. Rozkazuję mu głosem głuchym, żeby pracował dla swej ojczyzny i żeby, jeśli zajdzie potrzeba, umierał dla niej bez jednego drgnienia strachu, bez jednego westchnienia żalu, tak samo, jak ja. No, i wszystko.

Oddał nam cześć po wojskowemu.

Zaczął się budzić dzień. Poszedłem do alkierza, gdzie tej nocy miał spać. Otwarłem okno. Brzask dnia już się zaczynał. Ranek... Po drugiej stronie drogi sześciu żołnierzy szybko wybierało łopatami dół w piasku. Odszedłem w głąb izby. Odwróciłem się twarzą do ściany. Boże mój !... Było już jasno, kiedy wróciłem do okna. Mogłem już widzieć spokojnie. Na kupie piasku, pod strażą dwunastu żołnierzy z karabinami u nogi, bokiem do mnie zwrócony siedział spokojnie. Zdjęto mu już kurtkę powstańczą. Był w koszuli i tę koszulę miał rozzerwaną na piersiach. W rękach ściśniętych trzymał między kolanami fotografię syna Piotrusia. Głowa zwieszona, włosy spadły na czoło, oczy w tej fotografii utopione.

Zaszedł pluton żołnierzy, należący do jego własnej roty, z za węgła karczmy. Stanął ten pluton naprzeciwko. Von

Tauwetter prowadził. Żołnierze — broń u nogi. Stoją. Mięła chwila, druga, trzecia... Czekam. Czekam, żeby Tauwetter dał komendę. Nic, cisza. Nic, cisza. Nie może dać komendy. Tamten siedział wciąż z oczami w swoim obrazku. Miałem złudzenie, że może już, tak siedząc umarł. Przez chwilę miałem tę ulgę. Czekam. Aż oto podniósł głowę, jak ciężar tysiącpudowy. Stał na kupie piasku. Nogi mu się zarobiły w sypkiej ziemi, więc się poprawił, raz i drugi. Obejrzał się poza siebie, odgarnął włosy z czoła i spojrzał w żołnierzy. No, chwała Bogu, wróciło nań to wykrzywienie twarzy, ta pogarda, co ją miał w sobie na sądzie. Widziałem, jak powoli obejmowała mu twarz, oczy, czoło. Byłem szczęśliwy, że tak właśnie z dumą... Że Rozlutki... Czulem, jak wielką swoją wolą zmieniał się w nieczulego trupa, jak się przeistoczył w coś innego.

— Zdorowo rebiata!

— Zdrawia żelajem waszemu błagorodju! — zawrzaszeli żołnierze plutonu, jak jeden człowiek.

Podszedł Jewsiejenko, żeby mu oczy zawiązać. Odepchnął go oczami. Feldfelbel odszedł. Przycisnął tedy do serca ową małą fotografię, zamknął oczy. Uchyliły mu się usta od wyższego, pięknego uśmiechu. Zamknąłem i ja oczy... Przypadłem piersiami do ściany. Czekam, czekam, czekam. Nareszcie — t a r r a c h !

Geometra Knopl zdjął czapkę i coś tam suchymi wargami do siebie szeptał. Guńkiewicz grzebał patykiem w popiole ogniska, jakby pragnął pozakopywać sowite, pijackie łyżki, kapiące z jego oczu.

Zapanowała cisza. Wołały się echa po leśnych górach...

Wtem pisarz gminny zwrócił się do generała z pytaniem :

— Proszę też łaski pana generała, a gdzie naprzykład, jest teraz ten mały syneček, ów wtedy sześciolatek Piotruś ?

— A tobie to na co wiedzieć, gdzie on ? — grubiańsko i twardo odpowiedział generał.

— Ciekawość mię wzięła wiedzieć, czy się też spełniła ostatnia wola i rozkaz onego powstańca ?

— Nie twoja to rzecz i ty o takie rzeczy nie śmieję mnie pytać — słyszysz !

— Ja się też odrazu dorozumiałem — odrzekł pisarz, patrząc swymi szelmowskimi oczami, z bezczelną drwiną prosto w oczy starego generała — ja się też odrazu dorozumiałem, że z tej twojej ostatniej woli, mój ty kapitanie Rymwidzie, tego się diabeł musiał uśmieć.

K o n i e c .

ST. WŁ. REYMONT

Wspomnienia z lat dziecięcych

Było to w czasie wojny tureckiej w 1877 r. Miałem wówczas ósmy rok i pamiętam, z jaką niecierpliwością wyczekiwano w domu wieści z placu boju i numerów gazety.

Mieszkaliśmy zdaleka od kolei, pod małym, brudnym miasteczkiem, dokąd poczta przychodziła tylko raz na tydzień, we czwartki. Dla nas, dzieci, dzień ten był cudownym dniem swobody. Można było bezkarnie wlaźć na dachy, wieszac się po drzewach, wdrapywać na starą lipę, do bocianiego gniazda, skąd był najlepszy widok na drogę, aż hen, ku sinym lasom... że aż oczy zachodziły łzami od tego patrzenia.

Czwartek był też i dlatego pamiętnym dniem dla mnie, że nie chodziłem na lekcje do wuja, księdza Szymona, do klasztoru i mogłem uciec od fortepianu, którego nienawidziłem całą duszą. Nie zapomnę tego starego szynetu, z którego cichaczem wydłubywałem inkrustacje z kości, szyldkretu i mosiądzu, mszcząc się za tortury, których był przyczyną, i za te biczony, które obrywałem z jego racji. Lekcje z ojcem były codzień po południu, a potem musiałem jeszcze godzinami siedzieć przy starym pudle i ćwiczyć nieskończenie nudne gamy i wprawki.

Co to była za radość i uciecha, gdy się odezwała trąbka pocztowa na drodze ! Kto żyw, wybiegał z domu na spotkanie. Ojciec brał kij i szedł na pocztę.

Czekał tam już tłum szwargoczących żydów, gromady kobiet, posłańcy ze dworów i tłuste mierzyny z plebanii.

Serce przestawało bić ze wzruszenia, gdy pocztarek wynosił z bryki ogromną skórzaną torbę, brzęczącą kłódkami i zamkami. Jakże wolno szło to rozpieczętowywanie ! Z zapartym oddechem wpatrywaliśmy się w pana Jastrzębskiego, który poważnie, jakby mszę odprawiał, odrywał pieczęcie, odwijał, rozkładał...

— Prędzej, panie Janie, prędzej! — niecierpliwił się ojciec.

— Zaraz, nie pali się, list nie zajac, nie ucieknie ! — odpowiadał.

Żydzi kręcili się niespokojnie, baby wzdychały, a chłopcy wytrzeszczali okrągłe oczy na łysinę i czerwony kark pana pocztmistrza.

Listowy Michał, chłop jak dąb, o drewnianej nodze i srogim wąsie, stawał przy nim i powtarzał grzmiącym głosem :
— Wolica ! Jasiak, a łapże, chłopie — i rzucał pakiet chłopakowi ze dworu.

— Górki Małe ! Mosiek, naści, żydzie...

— Zuromin ! Franek, leć duchem...

Kolejno obdzielano dwory, potem plebanię, potem szli kupcy, co bogatsi, a na końcu wszelaka hołota i chłopstwo. Pan Jastrzębski surowo pilnował hierarchii.

Naprzód rozdawano listy, potem gazety.

Czasami ja chodziłem na pocztę, rzadko kiedy wuj Ludwik, ojciec nie pozwalał :

— Nie włącz im w oczy ! Nie trzeba ! Siedz cicho !

W domu rozpoczynała się uroczystość czytania gazet. Na początek szły wiadomości z wojny — same hiobowe wieści. Więc lamenty, narzekania...

Wieczorem schodzili się panowie : Rogowski, Bielecki, Michalski, Tarnowski, Kochanowski, przychodził też wuj, Ludwik. Zasiadano do herbaty i dyskusji, więc wiary, nadzieje, marzenia. Wuj Ludwik kłął zcicha, wzdychał, palił lulkę. Księdzu musiałem późno w noc pilnować cybucha...

Skoro się rozeszli, wuj Ludwik wracał do swego pokoju, zasłaniał okno i chodził całą noc, wyciągał broń, rozbierał, czyścił...

Nazajutrz szedłem z nim do lasu, gdzie strzelał do celu, wprawiał się. Uśmiechnięty wracał do domu i zaraz od proga wołał do matki :

— Wiesz, Antosiu, trafiłem pięć razy do asa ! Chwalić Boga, jeszcze jest ręka i oko !

Matka kiwała na to smutnie głową, ojciec się irytował, a ksiądz burczał :

— Jeszcze ci mało, widać, Kufsztajnu, mało ci Sybiru ! Chcesz jeszcze raz spróbować ! Oj, swędzi cię skóra, swędzi !

W piątki, od samego rana, schodziły się baby i chłopcy z listami od synów i braci z wojska. Co to były za płacze, krzyki, lamenty ! Barbara zjawiała się nieubłaganie co tydzień i czekała, czy niema co od syna... Nigdy nic nie było, ale zasiadała w kuchni i zanudzała wszystkich nieskończonymi opowiadaniem o swoim Maciusiu...

Przychodzili Żydzi z listami, pisanymi po polsku.

Między nimi Berkowa — handlowała jajami, nosiła cytryny — i z płaczem wspominała syna — Joska.

Pewnej nocy zrobił się w domu wielki rumor. To wuj Ludwik obudził matkę, która głośno zaczęła płakać. Ojciec mu coś napróżno perswadował, jedno tylko mogłem usłyszeć, jak wuj powtarzał twardo :

— Pójdę ! Pójdę !

Z rana przyszedł ksiądz Szymon na naradę. W domu zrobił się nieopisany zamęt, płacze, jakieś przygotowania do drogi. Ojciec chodził po kątach, jak struty. Berkowa ukradkiem wyniosła z domu stary szal turecki, który był od święta. Widziałem go potem na dziedzińcu. I porcelanowy zegar, który bił godziny, gdzieś też zginął z serwantki. Coś tajemniczego działo się w domu. Moszek wyprowadził krowę i dwuletniego źrebaka.

Wuj Ludwik nie ruszał się ze swego pokoju. Tylko ciocia Walercia wciąż siedziała pod lipą z panem Adamem i widziałem, jak się całowali. Powiedziałem, że poskarżę, uściskała mnie i, abym był cicho, dała cukierków i obiecała kupić w Piotrkowie pałasz prawdziwy.

Któregoś dnia poszliśmy wszyscy do kościoła. Podczas mszy wuj Ludwik leżał krzyżem, potem spowiadał się u wikarrego, a wuj Szymon komunikował go. Przyszedł też i pocztarek Michał. Przez cały dzień wuj Ludwik był strasznie wesoły, gwizdał i co chwila wołał do mnie :

— Stachu, widzisz wróble na dachu !

Matka tylko wciąż płakała i ciocia Walercia, a pan Adam kręcił wąsy i mówił :

— Żeby to powstanie, jak mi Bóg miły, ani chwilibym się nie zawahał ! Ale za obcą sprawę !

Ciocia Walercia ucałowała go, chociaż udawała zagniewaną.

Pamiętam ten wieczór, czerwiec być musiał, bzy kwitły. Było ciepło, noc dosyć ciemna. Słowiki śpiewały...

Cały dom poszedł wcześniej spać, i wszystkie dzieci.

Nie mogłem jakoś zasnąć. W pewnej chwili usłyszałem, że wychodzą z domu. Zerwałem się i ja i pobiegłem za nimi. Ojciec na mój widok powiedział :

— Weźmiesz wnyki !

Ale nie wypędził.

Szliśmy cicho, ostrożnie, aż do lasu — rodzice, ksiądz, wuj Ludwik i ja. Bałem się, ciemno było, i drzewa tak dziwnie szeleściły ! Zatrzymaliśmy się pod lasem, z boku drogi w brzoźowym zagajniku, który mocno pachniał.

Musiąło być już późno. Kury piałły. Wuj zaczął się żegnać. Ksiądz go błogosławił. Ukłękliśmy i cicho odmawiali : „Pod

Twoją obronę”. Nagle, gdzieś w mrokach zarżały najęte konie, i roziegł się cichy szept Michała :

— Czas, panie kapitanie !

Wuj runął na ziemię, objął ją rozkrzyżowanymi rękoma i aż się tarzał od płaczu. Oderwał się, ucałował wszystkich i zniknął w ciemnościach.

Posłyszałem turkot bryczki po kamieniach.

— Dojadą do znajomych na granicy, tam ich przeprowadzą.

— To i Michał z nim jedzie ? — spytała ciotka.

— Jakże, przecież to jego towarzysz. Uparł się, że go nie opuści !

— Porzucił żonę i dziecko !

— Nietylko on ! Nietylko ! — jęczała matka.

W tydzień przyszła wiadomość pewna, że wuj z Michałem przedostali się już zagranicę.

Odtąd jeszcze z większą niecierpliwością oczekiwano poczty. Matka płakała nocami. Ojciec uciekał w pole, a ksiądz modlił się po całych dniach. Tylko ciocia Walercia nie miała czasu, bo szyli wyprawę, i chodziła z panem Adamem na spacer do lasu, skąd wracała taka czerwona, narzekając na upał, że matka zabroniła jej tych spacerów.

Wreszcie odbył się ślub, zupełnie cicho, z rana. Ksiądz przyniósł wina, które wypito za zdrowie młodej pary, poczem odwieziono ich do lasu, gdzie mieszkał pan Adam.

Znów potoczyło się życie dawnym trybem. Przyszły żniwa, i długi list od wuja. Pisał, że już jest na miejscu, że zastał pułk, z którym mają iść na pomoc Osmanowi Paszy ! Wspominał, że Michał został już sierżantem, że spotkał towarzyszy z powstania. List został spalony, nawet popiół zalano wodą...

I tak płynął czas, gdy przyszły wiadomości, że Osman Pasza obleżony jest pod Plevną. Wiedzieliśmy, że wuj Ludwik jest przy nim. Długo trwało to oblężenie. Całe miesiące ! Wieści były coraz gorsze. Bili Turków wszędzie, otaczali Plevnę coraz ciaśniej, pisano, że głód w fortecy !

Przyszedł list od wuja Tomasza. Był ranny, leżał w szpitalu w Szumli. Ojciec strapił się srodze, posłał trochę pieniędzy, a ksiądz, przeczytawszy list, powiedział :

— To straszne ! Może do siebie strzelali ! Może jeden drugiego ranił ! Brat przeciw bratu ! Straszne !

I już odtąd dzień za dniem cały dom oczekiwał z trwogą wieści zdaleka.

— Wezmą ! Zobaczycie, wszystko wezmą ! — twierdził p. Rogowski.

— Nie bójcie się ! Osman to wódz ! To prawdziwy bohater !

I spierali się tak serdecznie całymi wieczorami.

Ksiądz odprawił mszę za niewiernych, usprawiedliwiał się przed matką, ale odprawiał, i coraz dłużej przesiadywał w kościele.

Na początku jesieni, pewnego dnia, gdy już zaczęto siewy, wpadła zdyszana Berkowa z dużą kopertą w ręce.

— Mam od Joska. Mam ! Jest list ! O, mój Boże...

— Cóż, zdrowy ? — pytała matka.

List był zapieczętowany — zawiadomienie z pułku, że jeszcze na wiosnę, podczas przeprawy przez Dunaj, Jasek zginął, rozszarpany kulą działową.

Berkowa słuchała, słuchała i zaczęła się śmiać :

— Państwo ino la szpasu tak czytają ! Prawda ? La szpasu ?

Ojciec zaczął jej tłumaczyć, aż wreszcie zrozumiała.

— Mój Jasek nie żyje ! Moje dziecko ! Jego kula rozewała ! Gwałt ! Mój syn ! Moje dziecko ! Ażeby was wszystkich choroba, ażeby ta czarna śmierć ! Mój Jasek !...

Rozpłakała się, opadła z sił, wtuliła się pod ścianę i pozostała tak skurczona cały dzień, bez ruchu, bez jadła, tylko łzy płynęły jej z oczu bezustannie. Ile razy zajrzałem do pokoju, widziałem jej twarz bladą, przekreśloną perukę i te sznury łoż, płynące nieskończenie.

Wkońcu podniosła się i zwróciła się do matki z krzykiem :

— Do samego cesarza będę pisać, niech mi zwróci syna ! Niech mi go oddadzą, on mój ! Mój !

Później, jakby jej się w głowie coś popsuło, bo wciąż powtarzała, że pisze skargi i prośby, aby jej oddano Joska.

Przyszła jesień, a z nią deszcze, wiatry i pluchy. W domu było ciężko. Uciekałem do księdza, ale klasztor był jakiś straszny, pusty, po korytarzach tłukły się wrony, deszcz zaciął przez wybite okna, a ksiądz smutny. Siedział w celi, pod zielonym, pękatym piecem, palił fajkę i godzinami nie odzywał się do mnie... Albo chodził ze mną po korytarzach, a coś mi minęli jakąś cełę, to powtarzał :

— Tu mieszkał ksiądz Sebastian. Świeć Panie nad jego duszą.

Wiódł mnie na drugie piętro, gdzie w narożniku była cela jasna, pełna kwiatów i kanarków. To była cela ojca Bonawentury.

— On wróci ! Jest na Syberii ! Wyjdzie mu czas i wróci !

Pilnował, aby wszystko było gotowe na jego przyjęcie. Sam dawał ptakom jeść, sam podlewał kwiaty.

Najbardziej bałem się celi ojca Tymona, na pierwszym piętrze. Okna były zasłonięte, drzwi zamknięte na klucz. Wuj je otwierał. Wewnątrz panował straszny nieład, na podłodze ślady krwi.

— Wzięli go ! Bronił się ! To jego krew. Nawet sukni kapłańskiej moskale nie uszanowali...

Klęknął na środku celi i modlił się żarliwie.

Po tych spacerach, których się bałem, ksiądz brał mnie na kolana, całował, i zaczynały się lekcje łaciny na starym, grubym brewiarzu.

Najchętniej uciekałem do ciotki Walerci. Mieli własny dom, konie, psy, które za mną łaziły. Dokoła były lasy ogromne. Całe dnie, od świtu do nocy, wałęsałem się z tym nowym wujem, włóczyłem po kniei ze starym gajowym, Pawłem, którym opowiadał o owcach i wilkach, o topieliskach, kędy diabły tańczą. W sekrecie przed wujem pozwalał mi strzelać ze swej fuzji. Pamiętam ten pierwszy strzał, od którego się przewróciłem, dostałem tak mocno kolbą w ramię. Ale źle strzelałem i później.

— Już nie masz duszy do strzelby, jak, nie przymierzając, pan Ludwik. Będzie z ciebie co najwyżej jakiś pisarczyk !

Pytałem go czasem o wujka Ludwika. Nie chciał mówić. Aż raz sam zaczął :

— Widziałem na własne oczy, jak pod Małogoszczą zmiotł pięciu Moskali, że ani zipnęli, kładł w nich kule, jak pirogi — jedna za drugą...

— To ich, ich, co ?

— Tak — i obejrzał się trwożnie, i już nic nie chciał mówić.

Chociaż tak dobrze było u ciotki, trzeba było wracać do domu i do lekcji.

Zbieraliśmy się z chłopcami i, uzbrojeni w kije drewniane, podzieleni na dwa obozy, Turków i Moskali, tego praliśmy się po łąkach. Majtki trzeszczały, guzy były, a wkońcu, na uspokojenie, pasek ojca garbował skórę.

— Wypędzę ja z ciebie tę wojaczkę, zobaczysz — i prał co sił.

Płakało się po nocach, matka goiła, a na drugi, trzeci dzień było to samo.

— Chcę być żłonierzem, jak wuj Ludwik — powtarzałem.

Któregoś dnia, późną jesienią, wpadł ksiądz z jękiem :

— Plewna upadła ! Osman Pasza w niewoli ! Cała armia w niewoli.

— A Ludwik ? — krzyknęła matka.

— Niewiadomo. Podobno całe wojsko poddało się.

Matka rozchorowała się ze zmartwienia. Pisali gdzieś listy i czekali długie tygodnie, miesiące. Czekali wciąż. Wrócił wuj Tomasz, zmizerowany, blady, o kuli. Zjawilo się i kilku chłopów bez nóg, bez rąk.

Aż jakoś w marcu przywłókł się stary dziad o kulach, siwy, i usiadł w kuchni. Ponieważ nic nie mówił, więc patrzyliśmy się na niego ze zdziwieniem. Aż dopiero gdy weszła matka i spojrzała na niego, zawołała :

— Przecież to Michał !

Położył palec na ustach, spuścił głowę i przykucnął pod piecem. Został u nas i wieczorem opowiedział, jak to wuj i gdzie zginął. Słuchałem, przejęty dumą, żalem i podziwem.

— Mówiłem, a nie mówiłem, że to nanie — wołał ojciec.

— Cichobyś był ! Głupiś ! — krzyknął ksiądz. — Każda kropia krwi, wylana za sprawę, nie przepada...

— I wciąż na nowo zaczynać, wciąż...

— A wciąż ! aż do ostatka, aż do zwycięstwa, aż do prześlągania Boga...

Nie wiem, co było dalej, bo kazali mi iść spać.

Nazajutrz wuj odprawił mszę żałobną. Matka zemdląła. Michał leżał krzyżem, a potem na obrazie zawiesił jakąś gwiazdę i krzyż...

— Tak kazał pan pułkownik.

Po mszy poszedłem na lekcje, a rodzice wrócili do domu.

Ksiądz chodził po pokoju. Michał zapalił mu fajkę i usiadł pod piecem. Naraz ksiądz przygarnął mnie do siebie, ujął za głowę i powiedział :

— Teraz na ciebie kolej.

Nie zrozumiałem i patrzyłem z zapytaniem.

— Tak, po dziadach i ojcach na ciebie przychodzi kolej. Na ciebie !

Paryż, 5 V. 11 r.

SPIS RZECZY

- 1) Nad brzegiem Wielkiej Rzeki
(Juliusz Kaden - Bandrowski) str. 5
- 2) Dzieje Bałki Murmańskiej
(Eugeniusz Malaczewski) str. 38
- 3) Latarnik
(Henryk Sienkiewicz) str. 65
- 4) Echa Leśne
(Stefan Żeromski) str. 79
- 5) Wspomnienia z lat dziecięcych
(St. Wł. Reymont) str. 89



armia

Arch Emigracji

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

1383385

Czytajcie i rozpowszechniajcie

NIEZALEŻNE PISMO CODZIENNE

WIARUS POLSKI

QUOTIDIEN POLONAIS

46 - Rue de la Charité - 46

LYON (Rhône)

Telefon :
FRANKLIN 07-30

Chèque Postal :
LYON 628-06

Jedyny organ informacyjny dla wychodźców, uchodźców i b. kombatanów we Francji.

Biblioteka Główna UMK



300020931518

Arch Emigracji

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

1383385

Czyt

NIEZ

W



Biblioteka Główna UMK



300020931518